№ 51. Warszawa, dnia 21 (9) Grudnia 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Proch bezdymny. — Tydzień polityczny. — Wesele Satyra p. W. Okońskiego. — *Życie społeczne*: Wśród tegoczesnej fali społecznej. V. Pobudki filantropii p. K. R. Żywickiego. — Z Francyi p. Parisisa. — Listy wiedeńskie p. Stwosza. — Antysemityzm w Wiedniu p. S.—z. — *Badania naukowe*: Ostatnia próba oświetlenia naszej przeszłości III. p. A. G. Bema. — *Literatura i sztuka*: Z Babieńca. Marya Rodziewiczówna: Kwiat lotosu p. Zyg. Pt. — Ze świata VI. p. Egrota. — Ludwik Anzengruber p. N. — Wystawa starożytności IV. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

PROCH BEZDYMNY.

Pogłoska, którą w całej ścisłości sprawdzić trudno, opowiada, że gdy francuzi wynaleźli proch bezdymny i zaczęli go wyrabiać, trójgłowy, niemiecko-austryacko-włoski mózg zaczął się pocić nad wytworzeniem takiegoż samego kamienia filozoficznego. Rozbierając chemicznie dostarczoną mu garść i kombinując wykryte w niej części składowe, dotarł wreszcie do tajemnicy. Nie wiemy na pewno, komu należy się pierwsza chwała tego tryumfu — rodakom Bismarka, Kalnokego, czy Crispiego, dosyć, że spólnicy przymierza posiedli skarb pożądany. Działo się to w lecie — ale nadeszła jesień ze swoją wilgocią i wznieciła popłoch między dobrodziejami ludzkości. Okazało się bowiem, że proch francuski zachowuje ciągle swe przymioty, niemiecko-austryacko-włoski zaś nie znosi wilgoci i ulega zepsuciu. A tu już założono dla niego fabryki, wyrobiono tysiące centnarów, wydano miliony. Ponieważ niepodobna ani osuszyć Europy „Exsiccatorem" lub „Gudronitem," ani zmusić nieba do powstrzymania się od dżdżów, więc nie pozostało strapionym wilgocią nic innego, jak podjąć nowe próby, a jednocześnie podpatrzyć francuzów. Próby ciągle zawodziły, ale podpatrywanie się powiodło. W czasach, w których prometeizm z kradzieży ognia na użytek ludzkości stał się kradzieżą koni, pieniędzy i wszelkich sekretów, proch bezdymny nie mógł długo pozostać tajemnicą jednego narodu. Więc podobno, dzięki osłowi przełażącemu najwyższe mury z jukiem złotym, przeniesiony został z Paryża do Berlina, Wiednia i Rzymu w zupełnej nagości. A zatem: dawny wyrzucono na śmiecie, fabryki odpowiednio przerobiono i nowe miliony marek, lirów i guldenów wrzucono w alchemiczny tygiel militaryzmu. Odtąd sprzymierzeńcy mogą być spokojni i dumni, że stoją na poziomie „ostatnich wyników wiedzy," w pierwszych szeregach „postępu cywilizacyi."

Ale gdzież jest szczęście bezskażne? I to więc mąci się obawą, że jakiś inny Schwarz, a rodzi ich każda niemal doba, wynajdzie proch jeszcze doskonalszy i jeszcze skuteczniejszy. Wobec zaś znanej pomysłowości francuzów, nabiera szczególnej mocy prawdopodobieństwo, że ten Schwarz nie będzie niemcem, ale francuzem. Znowu tedy trzeba będzie go naśladować, wykradać jego tajemnicę, zakładać, burzyć i przerabiać fabryki, tracić wyłożone pieniądze, wydawać coraz większe, a zarazem dowiadywać się np. od gminy rzymskiej, że niema czem opłacić bieżącego kuponu od swych obligacyj. Wszystko to jest niewątpliwie troską wielką, ale dla trójcy politycznej nie tak wielką, jak nam się zdaje. Przecież pp. Bismark, Kalnoky i Crispi dodawać i odejmować umieją, wartość sum zużywanych na potrzeby wojskowe oceniają, zasoby materyalne swych narodów znają, więc jeżeli mimo to z lekkiem sercem fabrykują coraz nowe karabiny i coraz nowy proch, to widocznie sądzą, że mnożą ziarno, z którego chleb żywić będzie głodnych. Ileż razy w sejmie niemieckim lub włoskim przedstawiano rachunki tej fabrykacyi, wykazując dziś straszne wyczerpanie ekonomiczne swoich społeczeństw i przepowiadając wkrótce ruinę, zawsze Bismark wzgardliwie się uśmiechnął, a Crispi, spojrzawszy na „przyjaciela," robił podobną minę. Mistrz z Friedrichsruhe przestał nawet przyjeżdżać na puste gadaniny w parlamencie, które mu— o ile są krótkie — humor poprawiają, ale— o ile zbyt długie — psują. Oświadczył on wyraźnie przez swój telefon dziennikarski przedstawicielom narodu, że oni są za głupi na to, ażeby pojęli wyższe przeznaczenia prochu bezdymnego, że jeżeli im dotąd nie rozświecił ich ciemnych głów, dalej tego mozołu podejmować nie będzie. Co w budżecie wojskowym napisał, to mieć chce, a w czczą gadaninę wdawać się nie myśli.

O prochu bezdymnym mówią znawcy, że on w taktyce wojennej sprowadzi wielki przewrót. Podczas bitwy bowiem żadna ze stron walczących nie będzie mogła łatwo rozpoznać stanowisk nieprzyjacielskich i wymierzać na nie swych strzałów. Otóż Europa przedstawia obecnie pole bitwy z prochem bezdymnym. Wiadomo, że star-

cie toczy się, że strzały padają, ale nie wiadomo skąd, bo dym stanowisk nie wskazuje. Widać pogodne niebo, przejrzyste powietrze, pola i drzewa — rzekłbyś krajobraz pokoju i pracy, a tu tymczasem grzmią głucho działa, leżą trupy. Niemcy, Austrya, Włochy, Francya wypierają się, ażeby w kogokolwiek godziły, a jednocześnie tępią się i niszczą prochem bezdymnym, nabitym we wszelką broń, jaką narody wynalazły dla wzajemnego tępienia się.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ludy południowo-słowiańskie nie wychodzą ani na chwilę z koła uwagi świata politycznego. Mała ta i bezsilna garstka tak ciągle go interesuje, jak gdyby w ich łonie spoczywała iskra, która kiedyś ma spowodować wybuch wojenny. Naturalnie pierwsze miejsce zajmują Bułgarya i Serbia. Dwie te siostry zwróciły się twarzami ku dwu przeciwnym stronom i odbywają przeciwne ruchy. Pierwsza zaciągnęła 30 milionową pożyczkę w Länderbanku wiedeńskim i obstalowała sobie w Steyerze austryackim 60,000 karabinów Manlichera. Pożyczka owa została urzędownie wprowadzona na giełdy wiedeńską i peszteńską, w czem *Journ. de St. Petersbourg* widzi krok, drażniący stosunki międzynarodowe i wyraża się o nim z ostrą naganą. Połączyła się z nim pogłoska, że istniał, czy też istnieje projekt oddania Austryi Widdyna i zapłacenia Turcyi 25 milionów fr. za uznanie Bułgaryi. Bądź co bądź, ciążenie jej ku Wiedniowi jest widoczne i znamienne.

Inaczej zachowuje się Serbia. Przyjęciem wychodźców czarnogórskich, których z ojczyzny wygnał głód, objawiła ona swe sympatye ku temu narodowi i jego dążeniom; odebrawszy na rzecz państwa koleje, dała dowód chęci usamowolnienia się w kierunku ekonomicznym, chęci, którą jeszcze bardziej i wyraźniej zaakcentowała, zerwawszy układ z bankiem angielsko-austryackim co do monopolu soli. Jak w sprawie kolei, tak i w tej rząd serbski wybrał krótką procedurę rozcięcia węzła, jak poprzednio, tak i obecnie wywołał wrzawę śród zainteresowanych kapitalistów oraz ich rządów, ale również i tym razem okazuje stanowczość i energię, którą zapewnie nie w własnej jedynie mocy czerpie.

Niemcy austryaccy, korzystając z kłopotów rządu, postanowili przekopać mu drogę rowami i dołami, ażeby w nie runął i połamał się rydwan nienawistnego im hr. Taaffego. Wyborną ku temu sposobność nastręczył im ruch czeski. Więc przywódca ich, Plener, zapytał w Radzie państwa, jaką postawę rząd myśli zająć wobec roszczeń czeskich do osobnej korony. Rzeczywiście dla hr. Taaffego było to: „tu Rhodus — tu skacz.“ Odrzucić owe roszczenia — znaczyło rozdrażnić młodo-czechów i wzmocnić ich stanowisko a osłabić starych; przyjąć je w zasadzie — znaczyło rozwścieklić niemców, dla których jednocześnie zaczął wiać przyjazny wiatr z Berlina. Odpowiedź Taaffego — powiada telegram — była „mistrzowską.“ Istotnie, była długą, z wielkiem przekonaniem wypowiedzianą, ale wszystkie klucze i wytrychy nie zdołałyby otworzyć jej zagadek i dobrać się do jasnego sensu. Tak po niej, jak przed nią nikt nie jest mądrzejszym odnośnie do zamiarów rządu austryackiego w sprawie czeskiej. Na tem właśnie polega „mistrzowstwo,“ które tem łatwiej zapewniało sobie tryumf, że parlament przyjazną rządowi większością przeciął dalsze obrady i zapobiegł nowym szturmom.

Izba francuska, mimo kilkakrotnych pokuszeń, nie daje się wciągnąć do awantury. Obraduje a nawet głosuje przykładnie, okazując rządowi zaufanie i nie zdradzając tęsknoty do nowego sitka na kołku. Ministeryum zażądało przyznania odmówionego dawniej funduszu na „cele tajemne“—grzecznie ofiarowano mu go. Słowem, po burzach i szarudze — pogoda i sielanka.

Sejm niemiecki przerwał swoje posiedzenia, nie wylazłszy z rozpraw nad budżetem. Sprawiła to opozycya, która, wyskukując prawo gadania przy uchwalaniu budżetu o wszystkiem, czego dusza zapragnie, a zwłaszcza co na sercu leży, wygłasza mowy przedwyborcze. Z otwartych okien sejmu prawi ona do narodu, co jest najskuteczniejszem i najtańszem, gdyż cała prasa głosy te powtarza bezpłatnie. Jest to więc wyborny środek agitacyi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WŚRÓD TEGOCZESNEJ FALI SPOŁECZNEJ.

V. Pobudki filantropii.

Dotychczas zajmowaliśmy się rozpatrywaniem dwóch głównych wyjawów społecznej działalności przedsiębiorczej w fabryce: instytucyami patronalnemi i udziałami. Badaliśmy rozwielmożnienie się ich w społeczeństwie, warunki powstawania, rozmiary. Widzieliśmy, że urządzenia patronalne ukazują się w następstwie bardzo posuniętego ześrodkowania kapitałów. Do tego moglibyśmy dorzucić inny szczegół nieprzytoczony. Mianowicie prawie wszystkie przedsiębiorstwa, które wkroczyły na odpowiednią drogę, usadowiły się zdala od ognisk miejskich życia przemysłowego — w okolicach, gdzie o nowe ręce robocze stosunkowo trudno. Vandervelde w swej pracy o tym przedmiocie podaje 12 wzorowych zakładów; w tej liczbie mamy 75% kopalni i hut, tj. przedsiębiorstw zwykle położonych na ustroniu. Tego rodzaju urządzenia jakby obawiały się gwaru miejskiego. Fabrykantowi Rey udało się urzeczywistnić w fabryce swojej, w Ruysbroecku, patronat; jest to osada odsunięta, z ludnością nieruchliwą i zachowawczą; tymczasem daremnie usiłował wprowadzić taką samą filantropię w drugim zakładzie, położonym w Gandawie... Wiemy także, że przedsiębiorstwa udziałowe upodobały sobie znowu te zawody produkcyjne, gdzie maszyna nie unicestwia znaczenia „dobrej woli“ ze strony pracownika. Wreszcie moglibyśmy dodać jeszcze trzeci objaw „filantropii“ przedsiębiorczej: systemy gratyfikacyjne i nadmienić, że rozsiadły się również w szczególnych zawodach. Nie trudno np. zauważyć, że nie czują one wstrętu do wielkiego miasta, wkraczają do fabryki, gdzie maszynie przypada znaczniejsza rola, sadowią się w stowarzyszeniach kolejowych, unikanych przez patronaty. To odmienne rozmieszczenie rozpatrywanych tu „czynów“ społecznych pozwala z góry przypuścić, że istnieje pomiędzy nimi pewne przyczynowe spoidło, które sprawia, że jedne ukazują się tam, gdzie inne są nieodpowiednie. Byłyby one naówczas wszystkie wyjawami tej sa-

WESELE SATYRA.

— Wiesz, że Satyr był pięknym za młodu, a skutkiem czego później okropnie zbrzydł? Otóż tajemnicę tej przemiany zachowała taka bajka:

Przez całą noc kazał Apollo chmurom wchłaniać pary wodne z morza i wczesnym rankiem rozlać je po lasach i niwach Skapolu. Nim zapalił na niebie gwiazdę dnia, już one rzęsistym deszczem ochłodziły powietrze ze skwaru i omyły drzewa z kurzu, obudziwszy w barwnych ustach kwiecia rozkoszne wonie. To też źrenice dobrego boga spromieniły się szczerem zadowoleniem, gdy spojrzał na ziemię i spostrzegł, jak ona, przybrana w świeże barwy, pachnąca i blaskami uśmiechnięta, obchodziła uroczyście gody Satyra i Terii, którzy w czułym uścisku, całując się rozmarzonemi oczami, wracali ze świątyni, gdzie przysięgli sobie związek serc dozgonny. Szli w otoczeniu krewnych, przyjaciół i poddanych, szczęśliwi, rozkochani, wdzięczni losowi, który im spotkać się w labiryncie życia pozwolił, i niebu, które im tak wyraźną dziś okazywało łaskę. Teria opasała ręką męża, śliczną, bujnie czarnym włosem obrzuconą główkę sparła lekko na jego ramieniu, upojonemi od zachwytu wargami w drżących szeptach powtarzała mu słowa miłości, a on przyciskając ją do siebie, to obejmował całą jej postać gorejącym wzrokiem, to pił słodycz z jej warg drobnych przeciągłymi pocałunkami. Zorza miłości, która na jego twarzy jaśniała, czyniła go piękniejszym, niż zwykle. Zdawało się, że od śnieżnego czoła, od dobrych oczu, od wszystkich czarów żony padały na niego nowe uroki. Płowe i miękie włosy spłynęły mu łagodnemi falami aż na ramiona, lica skraśniały zdrowym rumieńcem, nozdrza rozdymało miłe wzruszenie, w modrych oczach płonął ogień, a szeroka pierś nabrzmiewała westchnieniami błogości.

Matce jego ukazał się we śnie Apollo, więc urodziła syna podobnego temu bogu pięknością i siłą.

Właśnie orszak weselny zbliżał się ku domowi nowożeńców, gdy doleciały do niego zmieszane echa jakiejś muzyki, krzyków i śpiewu, a wkrótce wysypała się z wąwozu gór pstrokata i wrzaskliwa drużyna. Przodem biegł stary kozioł; za nim śpieszyli mali chłopcy, obwieszeni blaszanemi brzękadełkami; następnie posuwały się w namiętnych pląsach półnagie, bluszczem i kwiatami przybrane dziewczęta, śpiewające i co chwila nagniatając sobie w usta sok gron winnych; dalej szli obnażeni młodzieńcy, grając na fletach, trąbkach i piszczałkach; pochód zamykali starcy, którzy podrygując i zataczając się, dorzucali do ogólnego gwaru lubieżne okrzyki. Cała ta gromada miała na głowach wieńce, cała była pijana winem i nocną rozpustą. W środku niej, dźwigając ogromne cielsko na obrzękłych nogach, z czerwoną twarzą i przymkniętemi powiekami, z pasmem śliny u obwisłych warg kroczył, podpierany i ciągle upadający, senny i podnietami kobiet budzony — Bachus.

Teria, spostrzegłszy go i rozpoznawszy jego otoczenie, przycisnęła się trwożnie do męża i szepnęła:

— Zejdźmy im z drogi, uciekinijmy.

Ale zanim zdolali zboczyć w gaj przy drodze, już nadciągająca czereda zobaczyła ich i powitawszy z oddali dzikim wrzaskiem, podążyła ku nim śpiesznie i wnet otoczyła orszak weselny. Otrzeźwiony nagłym ruchem i nadzieją nowej rozrywki Bachus, oprzytomniał, odzyskał rzeźkość w nogach a żywość w twarzy.

— *Evoe!* gołąbki moje — zawołał z hulaszczym zapałem. Ale — fe! — przestańcie być parą gołębi, które gruchają i całują swoje dzioby długo, a Wenerę czczą krótko. Niech każde z was będzie dla drugiego winną jagodą, ciągle leżącą między zębami, która wysączywszy pod ich naciskiem swój płyn, zaraz napełnia się nowym. Nie spuszczaj ocząt, Terio. Naprzód masz za ładne, ażeby je powiekami osłaniać, powtóre powinnaś uważnie wysłuchać, co ci mówi bóg, patron szczęśliwego życia i opie-

mej ukrytej dążności, dlatego różnymi, ponieważ ziarno każdorazowo kiełkuje na innym gruncie. Zresztą nie jest to prosty domysł z naszej strony. Posiadamy bowiem znaczny materyał faktyczny, stwierdzający np., że udział w niektórych przypadkach jest wprost równoważnikiem patronatu. Zabezpieczenia emerytalne, na wypadek nieszczęścia lub choroby itd., bywają uskuteczniane przez pobieranie na to części lub nawet całego udziału; gdzie zaś istnieją urządzenia patronalne, tam jest to ich zadaniem... Pokrewieństwo gratyfikacyi z udziałem widzieliśmy znowu w poprzednim numerze. Cóż to jednak znaczy? Przecie nikt nie posądzi systemu gratyfikacyjnego o cele „filantropijne.“ Czemu więc stale przyklejać taką etykietę do udziałów i patronatów? Czyż raczej nie wolno mniemać, że i w tym razie wzruszenia filantropijne są pobudką często drugorzędną? Być może jakiś udziałowiec wszedł na tę drogę pod wpływem podniet idejowych; prawdopodobnie, że ten lub ów przedsiębiorca wziął się do „opiekowania,“ ponieważ posiadał wrażliwe serce. „Idea“ jednak okazała się kurą złotodajną. Tegoroczny *Journal des Economistes* denuncyuje Leclairea — ojca ruchu udziałowego, o którego uczciwości społecznej nie wątpimy i który oddaje 75% czystego dochodu najmitom z prawem kontroli — że na „idei“ zrobił dobry interes... Że ten lub inny „dobroczyńca“ popisuje się swojemi uczuciami, nic zmienia to postaci rzeczy, w większości wypadków bywa on świadomym szarlatanem społecznym lub nieświadomym prostakiem. Z całą stanowczością można twierdzić, że zarówno jeden jak i drugi cofnęliby się przed „szlachetnością,“ gdyby te postępki wypadło opłacać znacznym uszczerbkiem zysków. Wyjątku nie stanowiłyby nawet nieliczne natury istotnie wrażliwe: „dusza,“ zamknięta w ciele kapitalistycznem, musi dźwigać grzechy swego wcielenia dziejowego...

Porzućmy jednak słowa i „uderzmy w czynów stal,“ tj. zwróćmy się ku stosunkom rzeczywistym, aby poddać rozbiorowi pobudki, które złożyły się na wyklucie udziałów i patronatów. Zatrzymamy się głównie nad pierwszymi, ponieważ można częściej spotkać się z błędnym sądem względem nich, aniżeli w przypadku urządzeń patronalnych. W tym razie dajemy głos samym przedsiębiorcom. W broszurze, wydanej przez dystylarnię Perroda (syna), czytamy: „Nasi robotnicy zbliżają się niechętnie z ludźmi innych zakładów. Uważają siebie za coś lepszego, ponieważ należą do firmy, co zapewnia im takie korzyści. Szukanie też nowych rąk jest rzeczą bardzo łatwą, zakład jest w kłopocie, co robić z natłokiem kandydatów. Bezrobocia są u nas rzeczą nieznaną.“ Spowiedź ta niekoniecznie dobre daje pojęcie o skutkach moralnych udziału. Mniejsza wszakże o to. Wyraźniej jeszcze i szczerzej brzmi opowieść Besselièvrea, fabrykanta materyj bawełnianych. „Dzięki swojej ostrożności i staranności, umieli oni (tj. najemnicy) poczynić istotne oszczędności, na których firma zyskała; zbliżenie zaś pomiędzy nimi a głową zakładu doszło do tego, że z upodobaniem mówią: nasza fabryka. W każdym wypadku przyjaznym lub w razie nieszczęścia odczuwają żywo cierpienia i radości... Jedenastoletnie doświadczenie pozwala nam wyrzec, że własny interes nakazuje patronowi przypuszczać robotników do udziału, zwłaszcza w wielkich zakładach, gdzie trudno o nadzór bezpośredni i straty z tego powodu są znaczne. Przy pomocy zorganizowanego udziału sami robotnicy wykonywać będą dozór; w tej mierze można powołać się na owego udziałowego robotnika, który, spełniając w pewnej fabryce obowiązki smarownika, w ciągu roku zaoszczędzić zdołał na oliwie sumę większą, niż otrzymał w udziale.“ Zresztą, gdyby udziałowi najmici postępowali zbyt opieszale i niechętnie wywiązywali się z długu na nich ciążącego, ojciec uczestnictwa nie omieszka przypomnieć o niespełnianiu obowiązków. Mamy właśnie pod ręką ciekawą w tym względzie mowę do robotników firmy ślusarsko-blacharskiej Barbas Tassart i Sp. Autor wymienia oszczędności, które można uskutecznić na surowcu i narzędziach oraz na zużytym czasie, poczem zwraca się ku słuchaczom. „Jeśli udział polepsza wasze położenie, nie powinniście zapominać, żeśmy zerwali z równowagą, którą należy z konieczności przywrócić. Udział nakłada na uczestników pewne obowiązki, które wyłuszczymy mimochodem. Czy sądzicie, że robotnik udziałowy, stowarzyszony z patronem, któremu nie zbraknie roboty w złe czasy, który dorocznie otrzymuje sumę dodatkową, czy taki robotnik winien składać tę samą ilość pracy, co wszelki inny, tułający się od warsztatu do warsztatu i pobierający jedynie zwykły zarobek?..“ Niepodobna targować się jaśniej i otwarciej. Mowa ta zwalnia nas od dalszego wglądania w duszę ojców udziału i zdziera maskę fałszywie nakładaną. Wobec tego faktu trudno byłoby zrozumieć, dlaczego na wystawie paryskiej ryto nazwiska firm udziałowych złotemi literami jako wzory, gdyby zagadka nie została prosto rozwiązaną, że uczyniło to wspomniane towarzystwo popierania udziałów, złożone z udziałowców... Że wprowadzenie odpowiedniego urządzenia jest stawką gry wartą, dzieje przemysłu belgijskiego dają świadectwo wymowne. Niejaki Martin, przedsiębiorca murarski, w 1866 r. wprowadził do zakładu swego udziały. Oddawał 10% zysku czystego odpowiednio do poszczególnych zarobków. W r. 1870 poszedł on dalej, bo zaproponował robotnikom wejście do zarządu, zniesienie płacy od sztuki i otrzymywanie całego zysku po potrąceniu 7% za lokal i budynki, 10% za surowiec i nadto 25%; pomysł dochodził prawie do stowarzyszenia współdzielczo-wytwórczego. Ale robotnicy odrzucili projekt i w dalszym ciągu nie chcieli ani słyszeć o dawnym udziale! Prasa i izba handlowa w Verviers zarzucały najmitom głupotę, póki sprawa nie wyjaśniła się, że „dobroczyńca“ kilka razy ponad wartość ocenił różne rzeczy, w udziale szukał środka podniesienia pilności, w „skromnym“ procencie od wygórowanej oceny bardzo pokaźnego dochodu... Niektórym jednakże szczęści się. Istnieje w Halifaxie fabryka dywanów, w Gutenburgu zaś (Szwecya) parowy tartak; oba przedsiębiorstwa dopuszczają robotników do udziału w sumach podpisanego przez nich kapitału akcyjnego... Jeszcze krok dalej, a będziemy mieli przed sobą projekt p. Cheyssona o przypuszczeniu lokatorów do dochodów z domu, stosownie do wysokości komornego. Naturalnie projektodawcy nie chodzi o obcięcie kamienicznikom renty, lecz o zachętę lokatorom, aby nie niszczyli mieszkań. Wyznacza też na cele udziałowe zaledwie 4% czystego dochodu z kamienicy.

Rozpatrzenie pobudek, które złożyły się na wyłonienie przedsiębiorstw udziałowych, oswobadza nas od obowiązku drobiazgowszego badania instytucyj patronalnych. Autorzy, prawomyślności mieszczańskiej u których niepodobna podejrzywać, przyznają sami, że jest to broń najlepsza przeciw wszelkim bezrobociom i każdemu nieposłuszeństwu. Jeżeli tu i owdzie istnie-

---

kun wszystkich uciech. Nimfy, które mi dziś doniosły, że Skapolowi ubędzie jedna dziewica, gdym je zapytał, czy ładna, zamilkły, sine ze złości. Rzeczywiście jesteś tak piękna, Terio, że Satyr obmierznie bogom i ludziom, gdy cię sam będzie posiadał. Czy równie słodka, jak śliczna?

— Boję się ją chwalić— odrzekł Satyr— ażeby który z nieśmiertelnych mi jej nie zabrał, bo z śmiertelnymi sobie poradzę.

— I za cóż ty ją tak zawzięcie pokochałeś? Czy tylko za ponętną łupinkę?

— Boję się mówić głośno, gdyż zapewnie bogowie wychylili głowy z nieba i nasłuchują. Niech ci to wystarczy, że kiedy ją poznałem, uczułem nagle w duszy mojej jakąś dziwną swobodę: myśli wyrywały mi się z głowy jak ptaki, którym rozwiązano skrzydła, uczucia tryskały jak źródło, któremu otworzono wylot w skale...

— Rozumiem, rozumiem, takiż sam wpływ wywiera wino, które również wszystkie pożądania wyzwala. Nie darmo twoja żona otrzymała po urodzeniu imię *Eleuteria*—swoboda, tylko przez skrócenie nazwano ją Terią. Wiem o tem, bo jej ojciec prosił mnie w częstych modłach, ażebym jako bóg łagodych obyczajów wziął ją pod moją opiekę.

— Ciebie prosił, Bachusie? — spytał wylękły Satyr.

— Tak, mnie. I dlatego dziś wyprawię wam wspaniałą ucztę. Prowadźcie nas do waszej siedziby. Hej, dzieci—zawołał zwracając się do swej drużyny — za mną! Grajcie i śpiewajcie, niech cały Skapol zabrzmi weselem, niech przytomność opuści wszystkie głowy, niech rozum stopnieje w szale, jak lód w słońcu, zamieńmy się wszyscy w jedno winne grono, a ciebie, tych nowożeńców — w kielich życiodawczego napoju. Nie tul się do męża, wystraszona Terio— wszak my czcić będziemy tylko święto twoich z nim zaślubin. A ty, Satyrze, nie patrz na nas wzrokiem jelenia śród stada wilków. Wstydź się, brodata babo! Przecież ty niedawno celnym rzutem kamienia ważyłeś się okulawić Tytana. Wyglądasz, jak śmiały byk, a drżysz tak, jak gdybyś truchlał, ażeby cię zając nie przebódł uszami. Jutro żadna żaba nie odskoczy ci z drogi, ale każe się zdaleka ominąć. Terio, ty nie poślubiłaś mężczyzny!

Tymczasem oba orszaki zmieszały się i śród drażniącej muzyki, rozdzieranej porykami, szły drogą leśną ku siedzibie młodej pary. Na czele biegł w żywych podskokach kozioł.

Podniecony szyderstwem Bachusa, Satyr zaczął powoli odurzać się ogólnym szałem i przyjmować udział we wszystkich jego wybuchach. Opuścił Terię i oplótłszy kibić jednej z bachantek, śpiewał z nią łaskotliwe piosenki. Rodzice jego, usłyszawszy zwichrzone odgłosy tego pochodu, wyszli na próg domu, ale spostrzegłszy hałaśliwy tłum, cofnęli się zdziwieni i zatrwożeni.

— Co to jest? — spytali wchodzącego Satyra.

— Moje wesele — odrzekł i kazał wynieść na dwór wszystko, co przygotowano dla uczęstowania gości.

Biesiada to była skromna, ale natychmiast za drużyną Bachusa nadjechały wozy, naładowane owocami i beczkami wina.

Ciągle napełniane kielichy zaczęły krążyć śród uczestników, odezwały się namiętnemi melodyami flety, piszczałki i bębny, spłynęły się z niemi ochocze śpiewy i całe zebranie, porwane gorączką zmysłową, puściło się w tany. A Bachus, usiadłszy na grzbiecie swego kozła, przyglądał się uśmiechnięty temu wirowi i splotom giętkich ciał, nieustającej pijatyce i niemilknącym chichotom. Tylko od czasu do czasu wołał:

— Satyrze, Terię ktoś uwiódł.

Wtedy Satyr, jak gdyby w serce ukąszony, nagle przytomniał i blady, z oddechem mściwego gniewu szukał żony. Ale znajdował ją zawsze przy swych rodzicach, smutną i zapłakaną.

— Terio, krzyknął raz wreszcie — dosyć tej łzawej rosy! Bawimy się dla ciebie, więc baw się z nami.

Wyciągnął ją za rękę i wrzucił w taneczny odmęt. Natychmiast pochwycili ją pijani biesiadnicy.

— Tylko niewolnikom i poddanym od niej wara! — ostrzegał Satyr.

ją np. kasy oszczędności, zabezpieczenia na starość itd., przedsiębiorca w przypadku, kiedy coś dokłada a nawet kiedy tego nie czyni, lecz ma je pod swoim dozorem, używa swojej „opieki“ jako oręża przeciw wybrykom — wydziedzicza nieposłusznych. W tym razie możemy znowu powołać się na tak często przytaczanego Vanderveldea, ile że jest to osoba urzędowa i w imieniu rządu napisał swą pracę. „Instytucye przezorności, utrzymywane zwykle z zarobku robotników, którzy w funduszu rezerwowym posiadają swoją cząstkę, nie oddawaną w razie odejścia, są potężnym środkiem oddziaływania na personel fabryczny. To też nic dziw, że w takich wypadkach bezrobocia są nieznane. Widoczna jednak, że z budzeniem się samodzielności najmniejszej robotnicy spostrzegą, iż korzystniejszem jest użycie zatrzymywanych sum na założenie urządzeń wolnych, nieznających opieki.“ Znane są np. w Belgii bezrobocia, usiłujące zmusić przedsiębiorców do wyrzeczenia się filantropii patronalnej (kopalnie w Quenast). Wreszcie o istotnem znaczeniu gratyfikacyjnych systemów już nie mówimy, jest ono zbyt wiadome. Przeciw nim, podobnie jak przeciw patronatom zawzięcie występują czasami bardziej świadome odłamy warstwy najmniejszej. „Przy systemie gratyfikacyjnym robotnik wytęża siły, aby otrzymać wysoki zarobek, przedsiębiorca zaś, kiedy zarobek ten osiągnięto, zniża ceny pracy“ — mówi przed komisyą urzędową górnik belgijski...

Jesteśmy u kresu naszego zadania. Wiązanka powyższa faktów wskazuje, że pod rozpatrywanemi pobudkami ukrywa się w gruncie rzeczy istotny, jakkolwiek nie zawsze bezpośrednio uwydatniający się interes klasowy. Warto doprawdy pozbyć się złudzenia, iżby cały odłam pewnej warstwy społecznej bawił się w filantropijną ideologię! Jednakże interes może przybrać podobne kształty objawu tylko przy szczególnych warunkach ekonomicznych. Patronaty, jakeśmy widzieli, są w gruncie rzeczy często znaczną ofiarą ze strony przedsiębiorców; dość powołać się na nasz Żyrardów, który na czysto zyskałby finansowo, gdyby wyrzekł się swoich urządzeń. Że przedsiębiorca w dalszym ciągu używa wytworzonych instytucyj jako oręża klasowego, jest to już wynikiem pokutowania ludzkiej duszy w powłoce kapitalistycznej. Interes działa tutaj w sposób pośredni, czasem nie ku większej korzyści pojedynczego przedsiębiorcy, ile całej odnośnej warstwy. Coś podobnego możnaby powiedzieć o wielu udziałach; dość długo bywają one nieraz ciężką ofiarą, zanim staną się złotodajną żyłą. A zatem, ażeby mogły powstać tego rodzaju urządzenia, w sposób uboczny lub w dalekim dopiero czasie popierające interesy kapitału, potrzeba, iżby grunt, na którym one się wznoszą, był wystarczająco pewny. Przypuśćmy np., że nastaje długi okres zastojów w pewnym zawodzie. Jeżeli mamy na oku przedsiębiorstwa udziałowe, trudno spodziewać się, aby wyrastały one podczas takiego okresu; zdarza się nawet, że istniejące upadają. W latach bowiem straty przedsiębiorcy odtrącają odpowiednie sumy udziałom zgromadzonym w kasie, w tym nawet celu część przypadająca robotnikom nie zostaje uiszczana w końcu roku, lecz składana. Niech taki stan rzeczy potrwa dłużej, a możemy być pewni, że dobre chęci ze strony uczestniczących robotników rozpłyną się, samo zaś istnienie udziałów zaniknie... Tak samo instytucye patronalne są związane z wielkimi zakładami, ponieważ tylko te ostatnie stoją na pewniejszym gruncie i więcej posiadają prawdopodobieństw wytrwania w walce współzawodniczej. Ale z chwilą, kiedy wzmoże się konkurencya wzajemna lub dany zawód w kraju zacznie upadać, podobne urządzenia stają się straszną kulą u nogi. Właśnie takie czasy nastają dla naszej części świata dzięki współzawodnikom z za morza. Dzisiaj już widzimy pod tym wpływem rozpadanie się niektórych wielkich przedsiębiorstw angielskich, nie opartych na centralizacyi technicznej, na kantory handlowe z warsztatami po za fabryką. Wiadomo także, jak przemysł bawełniany, owa opoka, na której wyrosła wielkość W. Brytanii, umyka do Stanów Zjednoczonych i Indyj Przedgangesowych. Z tym upadkiem i zaostrzoną walką konkurencyjną mijają złote dni europejskich patronatów i udziałów, o ile to ostatnie nie pójdą drogą wspomnianego Martina. Naturalnie niektóre kopalnie węgla, które nie potrzebują obawiać się współzawodnictwa z powodu trudności przewozowych, wreszcie pewne olbrzymie zakłady z wyrobionem imieniem i stałą klientelą będą mogły pozwolić sobie na podobne zbytki, lecz i one w sposób umiarkowany... *K. R. Żywicki.*

Z FRANCYI.

Paryż, 30 listopada.

Odwiedziny Castelara.— Zebranie w Sorbonie i stowarzyszenie studentów paryskich.— Mowa prof. Lavisse.—Dzisiejsze pokolenie młodzieży francuskiej.— Usposobienie jego, nowe prądy i kierunki. — *Flirtage avec le divin.*

Przed kilku dniami w amfiteatrze starej Sorbony stowarzyszenie studentów paryskich — zawiązane przed kilku laty a liczące dziś przeszło 2,000 członków — witało uroczyście sławnego gościa, który przybył z za Pirenejów, głośnego profesora, historyka, poetę i znakomitego mówcę parlamentarnego, Emila Castelara. Na estradzie, obok Juliusza Simona, który przewodniczył zgromadzeniu, zasiedli: Gréard, rektor Sorbony, Himly, dziekan wydziału literackiego, Quatrefages, Leurent, Marion i inni profesorowie. Sala przepełniona była młodzieżą uniwersytecką i żywo zainteresowaną tem zebraniem publicznością.

Castelar wypowiedział przy tej sposobności mowę, gorąco oklaskiwaną: mówił o braterstwie narodów, o cywilizacyi, o Francyi i Hiszpanii, o młodzieży wreszcie, nawołując ją do pielęgnowania ideałów, umiłowania sprawiedliwości i swobody. Mówił żywo, gwałownie nawet, giestykulując, podnosząc głos i zapalając się, jak zwykli czynić hiszpanie. Poprzedził gościa na trybunie Juliusz Simon, wypowiedziawszy mowę niezbyt długą, swobodną, potoczystą, subtelną, wygłoszoną naturalnie, mowę, którą uważać można za wzór oratorstwa, w czem francuzi celują niewątpliwie przed innymi narodami. Sztuka ta przestała dziś być u nich błyskotliwą deklamacyą i stała się prawie gładką, ujmującą pogawędką, niepozbawioną jednak miejscami ognia i zabarwienia. Wyznaję, że ten rodzaj krasomówstwa więcej mnie pociąga, niż hiszpańskie pioruny, rzucane z mównicy.

Pierwszy jednak przemawiał na zebraniu w Sorbonie prof. Lavisse w imieniu stowarzyszenia, przedstawiając gościowi młodzież francuską. Nie była to właściwie mowa, lecz wykład, ścisły, zwięzły, pozbawiony górnolotnych wzniesień, mający jednak gładkość, płynność i zaokrąglenie

---

Ona poddawała się spokojnie wszystkim, którzy ujmowali ją w swoje objęcia i zataczali z nią kręgi, a nawet dotykała ustami podawanych jej czar, ale ulegała niema i jak gdyby w swej woli zgwałcona. Ile razy wszakże mogła, wymykała się do domu, skąd ją Satyr znowu wyprowadzał i do zabawy zmuszał.

Noc nie uśmierzyła szału, owszem, rozkiełznała go jeszcze bardziej. Wszystkie więzy, któremi dzień namiętności krępował, teraz popękały i oswodziły każdą żądzę. Wesele rosło nietylko w natężeniu rozpusty, ale i w liczbie jej uczestników. Nadciągnęły bowiem roje mainad, mimallon, bassarid, pięknych i szpetnych nimf, młodych czcicieli i towarzyszów Bachusa, których on w swej wędrówce po rozmaitych miejscach pogubił a obecnie zwołać kazał.

Jutrzenka, wybiegłszy o brzasku na niebo i spojrzawszy na ziemię, cofnęła się wstydliwie za osłonę błękitu; ostrzeżone przez nią słońce weszło w gęstym zawoju z obłoków, które przepuściły tylko nikłą i posępną jasność jego oblicza. Ale uczestnicy nie zauważyli tych znaków: chociaż znużeni pijatyką, tańcem i wyuzdaniem, z zapadłymi policzkami i błędnym wzrokiem podrzucali dalej omdlałe ciała i wypróżniali kielichy.

Trwała ta biesiada dni wiele z małemi i rzadkiemi przerwami, o ile ich pokrzepienie osłabionych sił wymagało. Nie zakończyła jej ani śmierć rodziców Satyra, których Teria z niewolnikami pochowała, ani odjazd Bachusa. Zostawił on bowiem część swego orszaku dla podtrzymywania wesołości; na miejscu, gdzie siedział, postawił swój drewniany wizerunek z ołtarzem, mianował Satyra swym arcykapłanem, jego dom—swą świątynią, a cały Skapol—umiłowaną dzielnicą swego królestwa.

Satyr był dumnym ze swej godności i zadowolonym z życia. Wyprawiwszy poddanych i niewolników do winnic i na pola, ażeby go zasilali owocami swej pracy, nie przestawał używać i mnożyć uciech bez końca. W chwilach nadmiernego zmęczenia, bawiono się grą w kostki, skakaniem chłopców na jednej nodze z miskami oliwy, nabijaniem strzałami z łuku pięt niewolników lub układaniem swawolnych piosenek. Teria należała i do tych rozrywek, ale niezmiennie smutna i coraz bardziej zgnębiona.

Pewnego wieczoru cały widnokrąg Skapolu obciągnął się ciemno-żółtawemi chmurami, w których ryczały i połyskiwały ślepiami spuszczone z łańcuchów przez Apollona gromy. Ziemia trzęsła się w przestrzeni, jak miotane wichrem jabłko, lasy przyginały się na niej jak wątła szerść lamy a wody, zaparte gwałtownym wiatrem, stawały w swym biegu. Wreszcie burza lunęła potopowym deszczem i zasłała powietrze ciemnością, w której jedynemi światłami były tylko błyskawice piorunów.

Rozproszyła ona gości Satyra, którzy bądź chronili się do swych domów w Skapolu, bądź odbiegli do przebywającego w sąsiednich górach Bachusa z obietnicą rychłego powrotu.

Pozbawiony towarzystwa a przytem zmęczony i wyczerpany z sił, legł Satyr na łożu i po raz pierwszy od dni wielu zasnął.

Spał twardo i oddychał chrapliwie. Teria, uwolniona od zgiełku, poczuła w kolejącej duszy miłe ukojenie. Usiadła przy mężu, którego tak kochała i który był ojcem dziecka dojrzewającego w jej łonie, chcąc go pocałować i tem znamieniem miłości zabezpieczyć od nieczystych pokuszeń. Ale zbliżywszy usta ku jego głowie, odchyliła się nagle z niepokojem i odrazą. Teraz dopiero twarz Satyra wydała jej się dziwnie starą i ohydnie skrzywioną, długie uszy sterczały jak spiczasto języki pod włosami szczecinowato zjeżonemi, a nos wtłoczył się głęboko i wywinął nozdrza. Teria nie mogła zrozumieć tej zmiany i sądziła, że ją łudzi mamidłem słaby płomyk kaganka. Z tą pociechą zasnęła.

Nazajutrz wszakże przekonała się, że Satyr istotnie uległ jakiemuś przeistworzeniu, ale ponieważ, zwoławszy swoj rzeszę, rozpoczął ucztować dalej, więc oży wieniem zatarł nieco ślady nabytej brzydoty.

W. O ński.

występu krasomówczego. O mowie tej powiedział następnie Simon, że ona dopiero pokazała mu dzisiejszą młodzież francuską, której bliżej nie znał, w pełnem oświetleniu i że dopiero teraz zaczyna ją poznawać.

Przyjrzyjmy się i my, zarówno samej mowie, jak i jej pociągającemu tematowi.

Dokładne zapoznanie się z generacyą dorastającą jest — według Lavisse'a — najbardziej interesującem studyum, jakie sobie można wyobrazić. Widzimy tu jak nowy duch, nawiany niewiadomo skąd, przebija się, kiełkuje, przenika umysły i serca. Z siejby tej rodzi się przyszłość...

Młodzieży dzisiejszej robiono wiele zarzutów. Ażeby być sprawiedliwym, trzeba sobie uprzytomnić, jakie miała przed sobą widoki, skoro tylko oczy otworzyła. Otóż urodziła się ona przed laty dwudziestu na ruinach rzeczy i idei; przypomnijmy sobie tylko nicość, w którą obróciło się wiele z naszych poglądów filozoficznych i politycznych; uprzytomnijmy sobie rozwiane w niwecz legendy i przywidzenia, klęskę zresztą, jakiej kraj nasz uległ. Łatwo zrozumiemy po tem wszystkiem, dlaczego nowa generacya jest mało wylaną a nawet nieufną, dlaczego obawia się idei ogólnych, choćby szlachetnych, nie wierzy odrazu na słowo; dlaczego nie ma jednego literackiego, filozoficznego lub politycznego sztandaru, ani żadnych namiętności *a priori*, które jej poprzednicy przynosili z sobą. Generacya roku 1830 miała wielką ambicyę, wiarę w siebie i śmiałość; obecnie jest bardzo roztropną. Gdyby studenci dzisiejsi zamiast stowarzyszenia założyli, na wzór wieków średnich „konfraternię,“ zdaje się, iż obraliby sobie za patrona św. Tomasza.

Przypatrzmy się jednak bliżej tej młodzieży — mówił dalej prelegent, a zobaczymy, że jeżeli nie twierdzi ona zbyt pochopnie, to nie przeczy zbyt chętnie. Nie przeczyć zaś, ani twierdzić, jest sceptycyzmem; zabójczy to sceptycyzm, jeżeli przejawia się zniechęceniem, niesmakiem i bezwładnością i jeżeli młodzież zasypia spokojnie z książką Montaigne'a u wezgłowia. Ona jednak nie śpi, przeciwnie, jest bardzo czujną, ciekawą i ma umysł bardziej otwarty, niż my go mieliśmy przed laty... Młodzież ta pożąda nowości. Odkrycia nauki, dotyczące człowieka i natury, zajmują ją żywo; najlepsi roznamiętniają się do tego. Znacznie większa ich liczba, niż przypuszczamy, rozciekawiona jest wielce do rzeczy tajemniczych i szuka czegoś po za światem znanym (*cherche l'audelà*), różnemi drogami, jedni w metafizyce, drudzy w Salpetrière. Czytałem niedawno w jednej z powieści, napisanej przez młodego człowieka (*L'homme libre* Barrès'a) opis dziwnego stanu duszy, wyrażającego się w słowach „flirtować z boskiem“ („flirter avec le divin“). Flirt ten, istotnie — dorzucił Lavisse — jest obecnie zajęciem wielu młodych umysłów...

Słowa te cenionego znawcy dzisiejszego pokolenia młodzieży zaintrygowały niemało publiczność i prasę. Reporterzy poczytnych dzienników udali się bezwłocznie do niego po bliższe informacye. Każde pokolenie — mówił on — ma swój właściwy stan ducha; za cesarstwa stan ten był inny zupełnie, niż dzisiaj; sądzę zaś, że ten właśnie „flirtage avec le divin“ charakteryzować będzie generacyę dzisiejszą. Nasi młodzi ludzie ulegają dwu wpływom sprzecznym, które jednak spółdziałają w tem, że doprowadzają młodzież do pewnego rodzaju mistycyzmu bardzo łagodnego, bardzo tolerancyjnego, który jest właśnie owem kokietowaniem z tajemniczością. Na umysły młodego naszego pokolenia oddziaływa naprzód pozytywizm Taine'a, następnie zaś to coś wyższego, nieokreślonego i delikatnego, co unosi się nad Renanem. Przechodzą oni w sposób naturalny od materyalizmu do idealizmu. Ścisłość praw naukowych zdaje się im nie wystarczać; zaciekawiają ich prądy religijne, sceptycyzm zaś nie zraża bynajmniej do zaciekania się w rzeczy pozaświatowe za przewodnictwem kabalistyki lub spirytyzmu. Odkrycie zjawisk poddawania myśli oddziałało silnie na wyobraźnię tego pokolenia. Cudowność pociąga ich, czują potrzebę jakiejś nowej wiary, czegoś boskiego, coby nie było jednak dawnemi wierzeniami... Jakoż istotnie w dzielnicy Łacińskiej zjawiają się dziś kółka kabalistów, spirytystów, buddystów, teozofistów, okultystów i jest nawet rodzaj kościoła „uczniów Swedenborga,“ odwiedzany gorliwie przez tę młodzież... Jeżeli jednak pewna część naszej młodzieży — ciągnął dalej w swej mowie prof. Lavisse — wątpi, poszukuje i igra z nieznanem, jeżeli dzieli ją różnica poglądów i zapatrywań, to wszyscy są zgodni w niektórych punktach zasadniczych, wszyscy miłują swobodę i mają nader żywe poczucie narodowe. Francyę kochają oni instynktem i rozumem, kochają dlatego, że jest wolną, szlachetną, że dąży do zaprowadzenia sprawiedliwości w stosunkach międzyludzkich. Kosmolici są między tą młodzieżą zjawiskiem nader rzadkiem, rzadszem niż dawniej... „W wiekach średnich — mówił profesor, zwracając się do Castelara — wszystkie prawie ludy uległy heroicznemu obłędowi krzyża (folie de la croix); ze wszystkich krańców ziemi rycerze i pielgrzymi śpieszyli do Ziemi świętej, rycerze jednak waszej Hiszpanii, mimo że byli waleczni i pełni poświęcenia, pozostali w domu, dlatego, że w domu był niewierny. Ich walka krzyżowa była bliską, wzrok ich nie sięgał aż do ostatnich kresów chrześciaństwa, zatrzymali się pod murami Grenady. I my nie spoglądamy ku krańcom ludzkości, i my mamy niewiernych w domu...“

Słowem, młodzież francuska jest dziśześrodkowaną w sobie i ma pewną nieufność do cudzoziemców. To zamknięcie się w sobie mogłoby wyrodzić się w szkodliwą wyłączność, szczęściem więc stowarzyszenie studentów paryskich nawiązuje stosunki braterskie z kolegami innych krajów i w tym celu wysłało deputacyę na jubileusz wszechnicy bolońskiej, świeżo zaś zapraszało młodzież uniwersytecką całego świata na uroczystość otwarcia nowej Sorbony w d. 5 sierpnia. Podczas tych uroczystości koleżeńska uczta w Meudon zgromadziła młodzież uczącą się całego świata, wszystkich ras i języków i złączyła ją w jednym bratnim uścisku. Zdawało nam się przez chwilę, że znikły waśnie i nieporozumienia między narodami i że ludzkość tworzy jedną wielką kochającą się rodzinę. Młodzież zagraniczna odpowiedziała nader chętnie na wezwanie swych kolegów francuskich, odpłacając gorącymi okrzykami i przywiązaniem do instytucyj francuskich za gościnne i serdeczne przyjęcie.

„Po tych świętach — mówił profesor — młodzież nasza nabierze może zaciekawienia i smaku do zagranicy. Jest to potrzebnem. Uczucie narodowe nieoświecane z zewnątrz staje się ślepem. Umysł francuski, gdyby przestał zasilać się obcymi pierwiastkami, zostałby porażony; powinien on wszystko ogarniać i dać wielkim prawdom ich wyraz ostateczny. Gdybyśmy utracili kiedykolwiek naszą rozprężność, strawilibyśmy się w sobie. Gdybyśmy nie umieli oddać słuszności drugiemu, jakiem prawem domagalibyśmy się jej dla siebie?.. Wiedzcie o tem dobrze, że ten będzie pierwszym między narodami, który ogarnie jasnem okiem pracę powszechną i który zaprzęgnie jaknajwiększą ilość wiadomości i idei ogólnych w służbę własną i własnej sprawy. Nie zamykajcie się więc w ciasnem kole; geniusz Francyi lubi wysokie wzloty i pełne światło.“

Jesteśmy— kończył mówca — u schyłku wieku, który obok wielu szlachetnych usiłowań popełnił nie mniej błędów. Pod ciężarem ich my upadamy, wy jednak czujecie w sobie zaród silnej wiary w prawdy przyszłe, których może już oczy nasze oglądać nie będą i macie gromadzący się wciąż wielki zapas energii, która pcha was już dziś do czynu, do działania. Wiara w siebie i w przyszłość robi wśród was ciągle i znaczące postępy. Nie jesteście wnukami wieku, który kona, lecz przyszłości, która z was i w was się rodzi. Odwagi i wytrwania...

Parisis.

LISTY WIEDEŃSKIE.

14 grudnia.

Sprawy kolonii wiedeńskiej. — Obchód rocznicy Mickiewiczowskiej. — Nowy słowik polski i radykał w sutannie. — Występy komika Zawadzkiego.

Ze zwykłą świetnością urządziło „Ognisko“ swój doroczny obchód w wiedeńskiem Konserwatoryum muzycznem. Sala i galerye były pełne, nie widziano jednak żadnego z wybitniejszych posłów. Może dlatego, że Rada państwa zwołana dopiero na 3 grudnia, może dlatego, że była szaruga, a może dlatego, że całe to widowisko ostatecznie pozostawić można dla ludu... Niesłusznem było takie rozumowanie, a posłowie, których główną czynnością jest reprezentowanie, powinni zrozumieć, że właśnie ten obchód jest sposobnością, przy której winni swe szanowne oblicza ukazać ludowi i młodzieży. Jedyna to niemal chwila, w której liczna ludność polska, żyjąca w Wiedniu, widzieć może, że to jej posłowie, przez rok cały bowiem panowie ci z arystokratyczną wstrzemięźliwością oddalają się całkowicie od rodaków wiedeńskich. Jedyna to również sposobność, przy której następuje zetknięcie pomiędzy dorastającem pokoleniem inteligencyi a tymi urzędowymi przedstawicielami narodu. Nie żądamy od posłów, aby w takiej z młodzieżą pozostawali solidarności, jak węgierscy; zawsze jednak warto a i powinno się przyjść i posłuchać jej programu. Łatwo byłoby im poznać, co jest jej słowem, a co przekonaniem, co na ustach, a co w sercu. Przewodniczący „Ogniska,“ Tadeusz Lipczyński, wygłosił słowo wstępne, w którem stwierdził doniosłość zapału, ogrzewającego utwory Mickiewicza, dla młodzieży wystawionej na wpływ materyalizmu społecznego. Plan jej życia streścił on w tych słowach: praca nad rozwojem ekonomicznym i nad podniesieniem ludu. Nastąpiły popisy muzyczne. Część fortepianową wykonała panna Karolina de Radio-Radiis, włoszka austryacka, która zajmuje się przeważnie muzyką polską, a wykonywa nietylko Chopina, ale Moniuszkę i Żeleńskiego. Odegrała baladę Chopina F-dur, polonez Ogińskiego i tarantellę Moszkowskiego, zbierając obfite oklaski. P. Guszalewicz, który odśpiewał aryę ze „Strasznego dworu,“ jest młodym rusinem, kształcącym się w Konserwatoryum wiedeńskiem. Głos jego przypomina Myszugę; słowiański charakter organu tego nietylko mu nie przeszkadza w powodzeniu na gruncie wiedeńskim, ale raczej toruje mu drogę do serc publiczności, która zna p. Guszalewicza z wieczorów konserwatoryum. P. Stanisław Kochanowski wykonał parę numerów skrzypcowych. Deklamacya p. Nowickiego miała, jak na dyletanta, zalety zdumiewające. Muzykalną część wieczoru zakończył śpiew pana Herteux (Münchheimera „Czarny krzyżyk“ i pieśń Stanisława z „Verbum nobile“ Moniuszki).

Główną ozdobą koncertu był występ p. Ireny Abendrot, która po raz pierwszy w Wiedniu śpiewała publicznie pieśni polskie. Młoda artystka, która jako jedyna koloraturowa śpiewaczka w operze wiedeńskiej, coraz pewniejsze zdobywa sobie stanowisko, wywołała tu burzę oklasków. Zwłaszcza „Mazur“ Chopina podobał się

ogólnie, wygłosiła go bowiem p. Abendrot z temperamentem, który i jej i pieśni dodawał wdzięku. Arya operowa, którą p. Abendrot również po polsku odśpiewała, przekonała ponownie publiczność naszą, że nadzieje pokładane w niej nie są płonne. Dyrektor opery Jahn i kapelmistrz Richter przepowiadają jej przyszłość wielką.

Zdumiewającem z wielu względów było przemówienie posła ks. Krechowieckiego, które zakończyło obchód. Nazwano je w Wiedniu „radykalnem,“ prawdopodobnie tylko *par contraste*. Bądź co bądź, było ono pięknem kazaniem na temat *omne trinum perfectum* — tak umysł ks. Krechowieckiego pozostaje pod wpływem form wymowy kościelnej. Atoli w ramach tych, prawdziwie misternie obejmujących nawpół zaimprowizowaną mowę, wygłosił ks. Krechowiecki wiele myśli zdrowych i pięknych, a wszystko umiał ożywić ruchami i plastyką głosu. *Omne trinum perfectum*: człowiek musi mieć rozum, uczucie i wolę. Parnas polski trzema świeci gwiazdami: Mickiewicz, to miłość czyli dobro najwyższe, Krasiński — to prawda, Słowacki—to piękno; mamy trójcę filozofów greckich. Z tego punktu wyjścia: *omne trinum perfectum*, żądającego harmonii czynników, zwrócił się mówca przeciw pogardzie, okazywanej dziś poezyi dlatego, że chorobliwie podniecila zapał i zrodziła generacyę marzycieli. Ależ każdej władzy umysłowej nadużyć można — a czy nie równie nagannem jest nadużycie rozumu, występujące w brutalnem haśle: siła przed prawem? Dla czegoż więc właśnie poezyę, opartą na uczuciu, mamy potępiać? Uwzględnijmy obok stron jej szkodliwych, istotę jej zdrową, weźmy ją całą, studyujmy poetę takiego, jak Mickiewicz, a poznamy, że jest w niej harmonia i zdrowie; znajdziemy w jego utworach trzy myśli główne, które mówca przekazuje młodzieży jako program Mickiewicza: społeczeństwo, naukę i cnotę. *Omne trinum perfectum*.

W tej samej sali po tygodniu zebrała się publiczność polska, by zobaczyć występ zdolnego komika i humorysty, Artura Zawadzkiego. Odegrał on szereg monologów, po części oryginalnych, po części wprowadzonych przez Gustawa Fiszera. Typy Fiszerowskie znane szeroko z wybornych przedstawień samego autora, z któremi trudno było współzawodniczyć nawet p. Zawadzkiemu mimo istotnych jego zalet. Kto widział Kałamaszewskiego — Fiszera, tego nie ubawi „Nauczyciel szkoły elementarnej“ p. Zawadzkiego. Atoli już „Babcia Feiteles,“ bardziej znana jako „Babcia Perlmutter“ Fiszera, okazała wyborny talent charakterystyczny Zawadzkiego, który zdobył sobie całkowicie sympatyę słuchaczów. Stary radca prowincyonalny, deklamujący dla biednych, monolog oryginalny Zawadzkiego, aczkolwiek na zużytym osnuty motywie, to utwór pełen życia. Najdatniejszym jednak typem był „Urlopnik“ mazurski, który grzeszył tą jedną tylko wadą, że zbyt stare odgrzewał anegdoty. Atoli zarówno charakterystyka zewnętrzna jak ruchy i sposób mówienia tak wiernie z życia były wzięte i tak serdecznym tchnęły humorem, że ten jeden monolog stawia p. Zawadzkiego w rzędzie wybitnych komików polskich. Monolog Gawalewicza „My i one“ dał mu sposobność do rozwinięcia zalet aktora salonowego, a przyznać należy, że i na tem polu poruszał się swobodnie. Podobno p. Zawadzki wprost z Wiednia udaje się do Warszawy; niebawem tedy publiczność wasza go ujrzy.

Stwosz.

ANTYSEMITYZM W WIEDNIU.

Mylilby się, ktoby sądził, że po ustąpieniu Schönerera z pierwszego planu działania antysemickiego, prąd ten w Wiedniu osłabnie. Odznaczony tą barwą *Deutsches Volksblatt*, aczkolwiek niezręcznie redagowany, cieszy się niezwykłem w Wiedniu rozpowszechnieniem, a pod sterem posła Verganiego (jak wiadomo — expolaka), urządzają antysemici coraz częściej zgromadzenia i uroczystości, które brzmią duchem nienawiści międzyrasowej i międzywyznaniowej w Wiedniu. Usiłowania ich mają też stronę zabawną: jest nią uganianie się za firmą, posiadającą znaczenie wśród kół wykształconych. Potrzeba im koniecznie wielkiego partyjnego poety, a że z żyjących żaden roli tej odegrać nie chce, z urzędu tedy zaszczycają godnością „ojców“ antysemityzmu poetów zmarłych. Wiadomo zapewne czytelnikom *Prawdy*, że kiedy swego czasu, po pojawieniu się „Homunkulusa“ Hammerling okrzyczany został jako antysemita i za to sławiony, w liście ironicznym zastrzegł się przeciw temu zaszczytowi. W r. 1885, pisząc do przyjaciela swego Roseggera, tak się wyraził o antysemitach: „Skoro Niemcy tak postępują, to zawołam z Tumelicusem: Nie jestem niemcem, nie chcę być niemcem!“ Niedawno ogłoszono wiersz, znaleziony w spuściznie Hammerlinga, zatytułowany „An den Ritter von ***,“ a zwrócony przeciw Schönerowi i antysemityzmowi. Poeta tak się wyraża o Schönererze: „Szanuję cię, bo wprawdzie niema nic gorszego od ciebie, ale — co gorsza — są głupsi.“ O sobie zaś powiada: „Nie będę nigdy wył z wilkami, tylko uderzał w moją lutnię.“ Lecz zaledwie Hammerling zamknął powieki, Schönerer i stronnicy jego wołają tryumfalnie: To nasz poeta! Onegdaj urządzili komers, poświęcony pamięci Hammerlinga, gdzie uroczyście mianowano go poetą swego stronnictwa. Jest to powtórne zastosowanie owej taktyki, której i Scheffel zawdzięcza sławę antysemity. Najświeższym wymysłem tej grupy jest rzekomy antysemityzm Grillparcera, który wywodzą z jego dramatu "Die Judin von Toledo" i z epigramu, kończącego się słowami: "Lump, werd'ein Jud' und recensire." Zapominają, iż Grillparcer w „Żydówce," obok zalotnej Racheli, stawia postać siostry jej Estery, jako wzór cnoty kobiecej i nie wiedzą może, iż ów wierszyk zwrócony jest przeciw Saphirowi, który istotnie jako krytyk zjadliwie i niesłusznie traktował Grillparcera.

O ile jednak z jednej strony literackie sztuczki antysemitów są pocieszne, o tyle w innym względzie agitacye ich wydają groźne rezultaty. Najnowszem ich zwycięztwem jest odmówienie zapomogi przez radę gminną jednemu z najdobroczynniejszych stowarzyszeń wiedeńskich — z powodu, że zarząd jego „żydział.“ Setki tysięcy ludzi doznały już dobroczynnej działalności „Ochotniczego Towarzystwa ratunkowego,“ które lekarzy swych i nosze ratunkowe wysyła wszędzie, gdzie ktoś nagłem zaskoczony został cierpieniem. Wprawdzie stowarzyszenie to cieszy się tak wielką sympatyą publiczną, że posypały się datki dobrowolne, przewyższające zasiłek, że nawet patrycyusze wiedeńscy na korzyść jego w sali Ronachera urządzili ekwilibrystyczne produkcye dyletantów, o których pomówić by warto jako o zajmującym „znaku czasu“ — ale bądź co bądź, duch antysemityzmu zwyciężył. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że i w polskiem stowarzyszeniu akademickiem "Ognisko" antysemityzm znaczne poczynił postępy. Jest tam kilku młodzieńców, którzy pono u Dühringa i Hartmanna przebyli wyższy kurs antysemityzmu, a którzy na ostatniem walnem zgromadzeniu z poglądami swymi wystąpili. Przygotowują nawet wniosek wyłączenia żydów z „Ogniska“ na wzór „Burschenschaftów“ niemieckich; sądzimy, że właśnie ta analogia wstrzyma ich od wykonania projektu.

Atoli i reakcya przeciw antysemityzmowi zaczyna objawiać się dobitniej i w formach wyraźnych. Wiele krwi napsuł antysemitom znakomity uczony Krafft-Ebbing, który w odczycie swym rozbierał antysemityzm jako objaw patologii rasowej. W zwartej falandze zaś wystąpi przeciw stronnictwu antysemickiemu założone niedawno centralne stowarzyszenie demokratyczne. Towarzystwo to, którego myśl powstała przed rokiem, zawiązało się pod egidą posła Kronawettera, Kreuziga, profesorów Suessa, Benedikta i Dittesa i sędziwego Adolfa Fischhofa. Kronawetter rozwinął program na onegdajszem walnem zgromadzeniu. Demokracya wiedeńska dąży do samorządu autonomicznego dla wszystkich ludów Austryi, na polu ekonomicznem walczyć będzie o dobro wszystkich warstw społecznych, broniąc milionów pokrzywdzonych przeciw egoizmowi reakcyonaryuszów. W interesie wolności i postępu zwracać się będzie stowarzyszenie przeciw walce narodowościowej i wyznaniowej, dążąc do pojednania szczepów sprzężonych politycznie. Ostatnim celem stronnictwa demokratycznego jest zwalczenie reakcyi na polu wyznaniowem, narodowem i politycznem.

S—z.

BADANIA NAUKOWE.

OSTATNIA PRÓBA OŚWIETLENIA NASZEJ PRZESZŁOŚCI.

III.

Autor mało się troszczy o racyonalny, uwydatniający główne i drugorzędne stadya rozwoju, układ całej tkaniny. Nagłówki rozdziałów mają w części przygodny, w części tak dalece ogólnikowy charakter, że można się pod nimi różnych domyślać momentów. Cóż np. mówią, jaką porę szczegółową oznaczają tytuły: „Polska w dobie potęgi“ — „Polska w nowej dobie potęgi“— „Starcie się z sobą w Polsce niemieckiego i polskiego żywiołu“ — „Próba nowej polityki wewnętrznej“? Takie rozluźnienie węzłów dziejowych może być jedynie okupione talentem epicznym, którego p. B. wcale nie posiada. Historyk uprzedza czytelnika (na str. I), że pragnąc rozwinąć „pewną myśl przewodnią,“ unikał „tytułów i podtytułów, *suchego i nużącego umysł grupowania* wypadków, a starał się natomiast utrzymać, z *pewnymi tylko wyjątkami*, ciąg chronologiczny i opowieściowy...“ Wiadomo, że autor, oprócz utkania proporca politycznego z przędzy dziejowej, miał jeszcze inny cel przed sobą: pragnął on rozwinąć przed „ubogimi w duchu“ „*wierny* obraz przeszłości naszej.“ Pomijając rozbrat zasadniczy, dzielący oba te zadania, przyznać musimy, że droga wytknięta nie należy zgoła do najprostszych gościńców. Kto w umysł cudzy, nieuprawny długiem ćwiczeniem, zamierza przelać drobną choćby cząstkę wiedzy historycznej, ten musi szczegóły odpowiednio *grupować*; ścisłe bowiem przestrzeganie chronologicznego tylko porządku, wobec rozmaitości faktów spółczesnych, czyni wykład niedostępnym i nudnym. Więcej powiem: istotny talent dziejopisarski polega przeważnie na umiejętnem *grupowaniu* wypadków i opromienianiu ich światłem naturalnem, od nich samych pochodzącem a niepodrobionem.

Historyk nasz, z tytułu swej idei przewodniej, zajmuje się głównie sprawami politycznemi; kronikę życia wewnętrznego na drugim stawia planie. Uwagi o rozwoju czy upadku sił społecznych oddziela zrazu p. B. od reszty wykładu („Wewnętrzny stan Polski za pierwszych Piastów“ — „Stan Polski w czasach dzielnicowych książąt“), przeniewierzając się tym sposobem nieco swemu programowi; później jednakże wpla-

ta je niekiedy w rdzenny tok opowiadania, a czasem, jako zaokrąglenie retoryczne lub dodatek regestrowy, w końcu rozdziału umieszcza. Najwybitniejszą wadę dydaktyczną w książce p. Bogusławskiego stanowi zupełny niemal brak definicyj, określających urządzenia staropolskie. Czytelnicy, którzy na tem dziełku poprzestaną, wiedzieć wcale nie będą: co nazywano sejmem, co — konfederacyą; jakie były obowiązki ministrów, wojewodów, kasztelanów, starostów, grodowych itp., od chwili ostatecznego pod Jagielonami ukształtowania się Rzeczypospolitej; ale za to, patrząc w przeszłość, dawno ubiegłą, przez kolorowe okulary naszego historyozofa, ocenią dokładnie i policzą wszystkie plamy i znamiona zasługi na moralnem obliczu zgasłych działaczów.

Wywody polityczne, stanowiące w oczach autora — „duszę,“ a w naszych — zbyteczną farbę czystego dziejów potoku, streszcza wieńczy końcowy rozdział p. n. „Przyczyny upadku Polski.“ Wady ustroju społeczno-państwowego, stosunki i fakty, które wywołały katastrofę, oznacza historyk następnymi terminami: „brak rządu“; poniżenie mieszczaństwa i niewola ludu“; „ścisły związek kościoła z państwem“; „stosunek do Austryi i Brandeburgii“; „Drang nach Osten“; „słowiański nasz charakter“; „upadek oświaty“; „rozszerzenie się poza etnograficzne terytoryum“; „granice“; „stosunek Polski do Rosyi.“ Niektóre z tych czynników oddawna uznano; ale wszystkich na równi (bez zachowania perspektywy, że tak powiem, genetycznej) stawiać niepodobna; jedne są względem siebie prostopadłe (np. „upadek,“ a raczej nizki poziom „oświaty“ i „niewola ludu“), inne — równoległe (np. „związek kościoła z państwem“ i stosunek do Brandeburgii). Autor ani rodowodu wyliczonych przyczyn, ani zachodzących pomiędzy niemi różnic należycie nie uwydatnił; zwrócił tylko uwagę na to, że raczej zgubił nas nierząd, niż granice, dla organizmu politycznego niedogodne. Kilka twierdzeń, wypowiedzianych tu przez p. Bogusławskiego, nie wytrzymuje ścisłej krytyki. Pierwszy podział Polski (którego projekt podały, jak wiadomo Prusy) nazywa on poniekąd „sprostowaniem granicy.“ Niewiadomo, co przez to mamy rozumieć? Wszakże dziejopisarz kwestyę granic naturalnych (słusznie, czy niesłusznie) lekceważy? Trudno też pojąć, dlaczego pokój z r. 1686 uznaje autor za korzystny dla Rzeczypospolitej, a panowanie Augusta III za chwilę dla Polski „bardzo pomyślną.“ Monarcha ten, który, jak wiemy, troskę o sprawy państwa na cudze zwalając barki, chętnie bawił się figlami dwu upodobanych błaznów, a z okien zamkowych do psów lubił strzelać, szczególny wyraz hołdu na różnych kartach odbiera. Ale co nam do tego kultu? — ma on swe źródło w uczuciu, które nie ulega krytyce. Ważniejszą, a czysto rozumową, jest inna sprawa, *con amore* przy końcu książki traktowana. Jedną z przyczyn upadku Rzeczypospolitej miało być rozszerzenie się jej „po za etnograficzne terytoryum.“ Nazwę tę nadaje autor (dowolnie) wszystkim ziemiom, wchodzącym w skład państwa za Bolesława Krzywoustego. Nie będziemy tu poruszali drażliwej kwestyi, dlaczego kraina lutyków pod względem etnograficznym zaliczona została do terytoryum polskiego; zapytamy tylko: czy słyszał dziejopisarz o jakimkolwiek znaczniejszym organizmie politycznym, któryby nie przekroczył granic pierwotnej swego narodu siedziby? Może dowody wstrzemięźliwości takiej złożyli persowie — macedończycy — rzymianie — frankowie — westgoci — anglowie lub niemcy?— Nie zabór cudzej ziemi przyczynia się do upadku państwa, ale niemożność zasymilowania podbitego ludu i słaba wobec współzawodników obrona.

Dodatnią stroną dziełka jest przystępna forma wykładu. Styl, dość gładki, nie odznacza się jednak równą wszędzie potoczystością. Na str. 32 czytamy: „Bolesław nie przyjął *na siebie* takich samych zobowiązań, jakie wziął *na siebie* chorwacki Świnimir: był on w porównaniu ze Świnimirem zbyt potężny, aby *siebie*... chciał krępować.“ Gdzieindziej znowu zająkliwemu wysłowieniu towarzyszy błędne użycie spójnika: „Książę *był panem* całej masy *ludności* i *posiadanej* (?) przez nią *ziemi*; ściągał z niej należne sobie daniny; wymagał od niej robocizn, *lecz* też sam jeden *był* jej *panem* i sędzią. *Ludność* ta siedzi na *ziemi*, wspólnie *posiadanej* i stanowi główną, pierwotną masę *zaludnienia*.“ Autor dba wogóle o poprawność mowy; ale w ciągu swej pracy wielokrotnie grzeszy usterką, polegającą na niefortunnem skupieniu dwu enklityk. Oto przykłady: „Próby zrzucenia *go się* nie powiodły (37);“ „zatwierdził przywilej koszycki *i go* rozszerzył (89);“ „poniewierali królem-rodakiem *i go* zdradzili (172);“ „aby jeszcze *go i* siebie ratować (174).“

Książka p. Bogusławskiego, pomimo drugorzędnych błędów, niedomówień i braku dobrej metody, mogłaby służyć za podręcznik tym, co z losami zgasłej Rzeczypospolitej zapoznać się pragną, gdyby ją oczyszczono z lirycznych, że tak rzekę, naleciałości. Obecnie stanowi ona tylko pamflet o jaskrawym kolorycie. Oblicze umysłowo-moralne samego autora z każdej niemal karty przegląda: jest on słowianofilem, wolnomyślnym przyjacielem ludu i antysemitą. Piękne to rysy; wolelibyśmy jednak, żeby nam swą postacią — słońca prawdy przedmiotowej nie zakrywał.

Historya Polski, równie jak inne prace tegoż autora (*Historya słowian*, *Szkice litowindyjskie*) przedstawia praktyczne zastosowanie „racyonalnej“ grafiki, która polega na zastąpieniu odpowiadających spółgłoskom miękkim, dwójek literowych (*cz, sz, rz, bi, pi, wi*...) znakami pojedyńczymi, z dodatkowym u góry przecinkiem lub daszkiem. Jest to zmiana w gruncie uzasadniona, a zbliżająca pismo polskie do czeskiego. Czy ogół ją przyjmie, czy się kiedykolwiek z odwiecznym rozstanie zwyczajem? Tyle poważniejszych zadań społecznych i naukowych czeka napróżno swego rozwiązania, a grafika „nieracyonalna,“ którą od trzech przeszło stuleci naród pielęgnuje, tak małą stanowi przeszkodę do rozwoju cywilizacyjnego, że nad losem przeciwnym projektów reformy pisemnej — oprócz samych krzewicieli — nikt zapewne jednej łzy nie uroni.

Przeciw systemowi p. Bogusławskiego dwa główne podniesiemy zarzuty.

1) Po spółgłoskach miękkich — zębowych i przyciskowych (*c, dz; cz, ż, rz, sz*) pisze on *i*, zamiast *y* (np. *polaci, żidzi*). Że w mowach pobratymczych po *c, cz*... brzmi samogłoska *i*, trudno zaprzeczyć; ale to nie pociąga za sobą żadnej dla nas konsekwencyi. Różnicę (bez względu na jej rodowód i stopień), jako fakt niezaprzeczony, uszanować należy. Propagator w błąd wprowadza braci słowian; ogół nasz bowiem nie mówi dzisiaj: *cifra, czitać*, lecz — *cyfra, czytać*.

2) Grafika „postępowa“ nie uwzględnia warunków, jakie przyspieszonemu towarzyszą pismu. Dłoń czynna odrywać się co chwila musi od linii, dla kreślenia znaków dodatkowych, a mnogość ich i względna rozmaitość — o ile utrudnia sam proces mechaniczny, o tyle przy średnio czytelnym charakterze stać się może powodem do zbyt częstych nieporozumień i dwuznaczników. Fr. Ks. Malinowski przed dwudziestu laty lepszy stosunkowo usnuł projekt: wymyślił on wprawdzie dla szeptów miękkich dziwaczne figury; ale dbał o ich jednolitość, a bałamutnej petrocizny unikał.

Kto po raz pierwszy weźmie do ręki książkę p. Bogusławskiego, ten słusznie się zadziwi, że historyk, uprawiając swą niwę, jednocześnie z niezwykłym żarem występuje w roli propagatora nowej grafiki. Dla wtajemniczonych jednak w osnowę pracy niema tu żadnej zagadki psychologicznej; autor bowiem jest właściwie nie dziejopisem, lecz publicystą-ideologiem, posługującym się historyą i grafiką, jako narzędziami: pierwsza ma przekonać o potrzebie łączenia się narodów słowiańskich, wobec grożącego od Germanii niebezpieczeństwa, druga — ułatwić wzajemną między niemi korespondencyę.

Oby szlachetna w zasadzie dążność i silne poczucie plemienne, jakiem p. B. celuje, weszły u niego jaknajprędzej w dobre porozumienie z prawdą dziejową, zdrowym rozsądkiem i warunkami rzeczywistości. Ze sfer bowiem podobłocznych spada się częstokroć w topiel krwawego zawodu.

A. G. Bem.

LITERATURA I SZTUKA.

Z BABIEŃCA.

Marya Rodziewiczówna, *Kwiat lotosu*, Warszawa, 1889.

Wpływ łaskawych nagród konkursowych i nieodłącznej od tego reklamy wydawniczej na twórczość laureatów bywa różnym, względnie do sił umysłowych wieńczonego. Zdarza się, iż pod działaniem potężnego bodźca kadzideł chwalczych autor czy autorka snują z siebie wprzód nić złotą, następnie srebrną, a potem, w miarę silniejszego pobudzenia (rozochocenia), napoczynają najgłębsze i najskrytsze zasoby i snują — już tylko konopną... Panna Rodziewiczówna przeżyła właśnie dwie poprzednie fazy, zapieczętowane „Dewajtisem“ i „Strasznym dziaduniem“ i wkroczyła śmiało w ostatnią, którą wyraża „Kwiatem lotosu.“ Póki czerpała ze skarbca bezpośrednich wrażeń i spostrzeżeń, z żywego zdroju rzeczywistości, stwarzała względnie wierne jej odbicia artystyczne; lecz z chwilą jak sięgnęła w głąb swej fantazyi, wydobyła na pokaz garść łachmanów zakrystyi i babieńca. Obok tego zaś zadzwoniła uchu zdumionemu starą oklepaną zwrotkę powieści Kraszewskiego, z doby poprzedzającej przełom w naszych stosunkach społecznych (pańszczyznianej), zwrotkę służalstwa feodalno-patryarchalnego, nieśmiałych psio - pokornych westchnień miłosnych ku arystokratom, uczuć, które nieprzeparcie, fatalistycznie miały ogarniać niegdyś serca ludzi z gminu.

Główną oś powieści p. Rodziewiczówny stanowią dwie postacie: Rafał Radwan i Adam Lachnicki, dwie dusze: jedna posępna, dumna, bezbożna i szydercza, druga — pogodna, gołębia i bogobojnie zapatrzona w niebo. Ale to nasze jest takie uogólnienie, wydobyte na jaw z bezładnego wątku psychologicznego p. R.; potrzebne ono nam, jako wytyczna, domyślnie przyjęta przez autorkę, gdyż *antyteza moralna* i dążność do zbudowania czytelnika wyraźnie tkwią w opowiadaniu całem. W istocie dusza Radwana pomyślana jest z widocznym celem rzucenia grozy na umysły młodociane i serce niedoświadczone, skłonne do ulegania „zgubnym“ wpływom ducha czasu. To też cała ta postać, od pięt do głowy, jest tworem sztucznym: dzieje jej wewnętrzne i zewnętrzne — to wybryki niesfornej wyobraźni autorki, to jej własne rozumowanie, poglądowo wykonane przed czytelnikiem. Rozbierzmy je, żeby się dowiedzieć ile w niem jest logiki. Rafał Radwan, według niejasnej intencyi autorki, ma streszczać w sobie rysy moralne i umysłowe pokolenia, odbijającego duszą kierunki tegoczesnej myśli społeczno-przyrodniczej. Rzeczywistość, użyta za probierz, wypiera się takiego typu i dowodzi, że p. R. niema odpo-

wiednich sił umysłowych do odtworzenia drgającących życiem, obcych jej zupełnie organizacyj duchowych. Widać to z tego, w jaki sposób każe czuć i działać głównemu bohaterowi. Właściwie autorka nie każe mu prawie zupełnie czuć. Niema on żadnej wiary: ani w Boga, ani w życie zagrobowe, żadnych uczuć: ani rodzinnych, ani przyjaźni, ani miłości ojczyzny, gorzej—bo nawet współczucia dla bliźnich i wzruszeń płciowych. Zaraz na wstępie, jeszcze jako młodzieniec, jest jednostką nawskróś nieuspołecznioną. Z całej obszernej gamy uczuć ludzkich posiada tylko egoistyczne: dumę i zemstę. W tak doskonałej próżni psychicznej, pomyślanej przez autorkę, czytelnik słyszy suchy szelest procesów myśli sceptycznych, przepływających w głowie Radwana... osadzonej na barkach p. Rodziewiczówny. Jest on przytem wspaniałej postawy, łączącej w sobie „wdzięk Gamyneda z muskularnością Samsona,“ czoło ma „kanciaste,“ osłonięte „gęstwiną ciemnych, lekko kędzierzawych włosów“ i oczy „czarno-szafirowe“ patrzące z pod silnych brwi, i usta świeże, „ślicznie zarysowane.“ Na zapytanie szlachcica, który przed laty, za czasów studenckich w Moskwie, znał podobną do niego kobietę i kochał ją: kim jest i kto go rodzi. wymienia swe imię i nazwisko z szyderczym dodatkiem: „ano, matka i przypadek!“ Kiedy ten sam szlachcic ubolewa nad nim, że nikogo swego niema, odpowiada: „mam siebie samego, to mi wystarcza.“ Pomimo chłodu i szyderstwa, nieschodzącego nigdy z ust, przywiązał do siebie dwie istoty, zupełnie inaczej niż on zorganizowane, Leonkę Brzezównę i Adama Lachnickiego. Pierwsza nazywa go swym „mistrzem,“ drugi — „demonem.“ Leonka była stworzeniem litości godnem, szpetnem, anemicznem, zanikłem cieleśnie. Kształciła się i lekcyami zarynała. Gdy raz wieczorem późnym, nie mogąc rozwiązać trudnego zadania z matematyki, siedziała nad książką gorzko zapłakana, usłyszała, jak ktoś ją miękim głosem przezwał „dzieciakiem.“ Był to Radwan. Pogłaskał ją po włosach, uspokoił i pomógł. Odtąd zapaliła się w jej sercu ku niemu tajemna iskra miłości. Ale on nigdy już potem nie obdarzył łaskawem i ciepłem słowem, tylko wciąż szydził przed nią ze wszystkich jej świętości i podcinał skrzydła, odzierał życie z uroku. Jednem słowem zagrzewał do buntu, a drugiem budził zwątpienie o skuteczności jej wysiłków. Bez litości, wprost w oczy, rzucał bolesne uwagi, że organizm jej nie wytrzyma zamierzonej pracy i może po błednicy i anemii wejść w fazę histeryi. A jednak: „Leonka pochłaniała słowa. Dreszcz nią wstrząsał nerwowy, przestrach i poczucie własnej, bezmiernej nędzy“ wobec jego programów i poglądów. Potem zapanował nad nią zupełnie. „O! mistrz to był niebezpieczny, a uczenica pojętna — wykrzykuje autorka. Rozumieli się doskonale. Wpływowi temu nic nie przeciwdziałało, oprócz suchej godziny religii w szkole, którą wydawała machinalnie, z obowiązku. Rafał, czasem ujrzawszy katechizm na stole, parafrazował go po swojemu i dowodził sofizmatami bezsensu.“ A Leonka piła tę „truciznę,“ bo, jak utrzymuje p. R., nikt jej nie nauczył bronić „prawdy i wiary.“ Podniecona pogardą swego mistrza względem kobiet, pozbywała się stopniowo cech niewieścich: delikatności, dobroci, słodyczy, litości i wrodzonej uległości.

(D. n.).

Zyg. Pt.

ZE ŚWIATA.

VI.

Nowe „Ody barbarzyńskie“ Carducciego.

Giosuè Carducci, wieszcz i wcielony geniusz młodej Italii, która przy całej wzniosłości Odrodzenia smutnie przypomina ghibellińskie tradycye padaniem do nóg niemieckiemu cesarstwu, wydał trzeci tom *Od barbarzyńskich* (I: 1877, II: 1883 r.), a to literackie zdarzenie, wobec niepłodności spółczesnej włoskiej beletrystyki, musiało stanąć na liście najdonioślejszych faktów. Ody barbarzyńskie, nazwane tak z powodu, że wedle twierdzenia autora barbarzyńskiemi wydałyby się rzymianom — wprowadziły do poezyi nowe żywioły, same przez się będąc niesłychanie śmiałą i zrazu wprost wyszydzoną próbą zastosowania w dzisiejszym języku klasycznym rytmów i strof Horacego. Rytm ten, niech co chcą mówią przeciwnicy, jest w języku włoskim możebny, z powodu, że jego słownictwo posiada bogaty zapas wyrazów, t. z. *Sdruccioli*, tj. akcentowanych na 3 zgłosce (np. ánima, imágine, rinnóvasi). umożebniających układanie szeregów daktylicznych; ludowa poezya jednak Horacyuszowej strofy nigdy nie znała, więc i dziś ta arcykunsztowna forma w narodowe poczucie nie wsiąknie. Szkoda pracy całego zastępu fanatycznych epigonów mistrza, którzy skacząc sdrucciolami, przypominają trzodę owiec podrygających po ugorze. Przytem maniera Carducciego dopuszcza się najzgrzybialszych archaizmów, żal więc bierze słuchać, jak młodzieniaszkowie owi gwałcą piękny język, urabiając na wyścigi z francuskimi symbolistami nowy, pseudo-klasyczny.

Trzeci tom zbioru *Odi barbare* nie ustępuje pierwszemu pod względem wykwintu języka i fantazyi, tylko poeta-profesor i radca dworu nie jest już owym buntownikiem i republikaninem, jakim się głosił, pisząc *Odę do szatana*. Wstydzi się nawet po troszę dawnych prometeuszowych porywów i pochlebnie gęśli chwalę Sawoji, łudząc się, że jest niezawisłym piewcą bezkrólewskiej przyszłości. Wyrozumował sobie przywiązanie do tronu, złączywszy dwa imiona „Sawoja i Garibaldi“; Wiktor Emanuel jest dlań bożyszczem, król Humbert oczywiście spadkobiercą bożyszcza; wreszcie do pięknej królowej umizga się brzydki dosyć boloński profesor z wdzięków pełnego obowiązku „trubadura.“

Wracając do klasycyzmu, odtwarza Carducci najtroskliwiej jego styl, przesycony apozycyami, epitetami, splatający wyrazy w trudną do przejrzenia figurę. Weźmy np. odę p. t. *Miramar*, gdzie po opisie sławnego zamku Habsburgów pochwycona jest chwila odjazdu cesarza Maksymiliana do Meksyku:

O Miramare, ku twym białym murom
Kirem dżdżystego zasępionym nieba,
Czarne od lotu ponurych zwiastunów
Płyną obłoki.

I całe morze miota ryczącymi
Gniewy . . .

I huczy nieba grzmot wzdłuż Nabresiny
Rdzawego brzegu, a Tryest tam w głębi
Wieńczoną wznosi delfinami głowę
Śród smug ulewy,

Nie można rzec, aby ten styl nie nadawał się znakomicie do krajobrazów; uplastycznia on i koloryzuje. Traci jednak równowagę artysty nawet Carducci; mozolenie się nad formą przytępia rzutkość spojrzenia i nie pozwala zoryentować się, gdzie w realistycznym opisie należy przestać, aby nie spędzić piękna. „Szare i białe chmury, krowy niebieskie wylewające mleko z wilgotnych piersi,“ nie byłyby śmieszne chyba u Homera. W tej samej odzie (Pieśń marcowa) spotyka się taki opis podwórza: „Oto woda ocieka i pomrukuje grzmot; cielę podnosi głowę w wilgotnej stajni; trzepiąc skrzydłami gdacze kura, w głębi ogrodu wzdycha kukułka i chłopcy skaczą przez grzędy.“ Może spółrzędne ułożenie zdań, może brak rymu i nieznośne *sdruccioli*,

(Profondo vel verzier sospira il cúculo),

może jałowość pospolitych spostrzeżeń psuje wrażenie, dość, że ustęp ten uznano nawet we Włoszech za nieszczęśliwy i przypomniano podobne a nieskończenie wyższe opisy Leopardiego (Cisza po burzy, Sobota na wsi itd.).

Czciciel słońca i wina nie mógł zaniedbać epikurejskiej pieśni; zwie się: *Na maryackiem wzgórzu*:

Tu na błyszczącem wzgórzu przyjaciele
Jasnego wina lejcie i blask słoneczny
Niech się w niem łamie; wy śmiejcie się, piękne!
Jutro pomrzemy.

Jutro pomrzemy, jak pomarli wczoraj,
Którzy kochali; precz z pamięci człowieczej,
Precz z serc człowieczych, lekkie, wiotkie cienie
Z świata pierzchniemy.

Do najdłuższych należy oda napisana dla „Mecenasowej“ włoskiej, królowej Małgorzaty. Jeden z profesorów rzymskich mówił w maju o muzyce XV i XVI wieku i o zwykłym wówczas instrumencie — lutni; królowa zachciała poznać ją w praktyce—z tego zachcenia stworzył Carducci odę. „Kiedy pani Sabaudzka dotknie lutni, poufały duch wzrusza lotne struny, z wyżłobionej piersi instrumentu wstaje Muza ubiegłych czasów i chór powietrznych form, form starej poezyi, otacza *italską* Małgorzatę.“ Przedstawiają się z kolei Kancona, Serventes (z okrzykiem „Avanti Savoja!“), Tencona i Pastorella. Niewątpliwie biegła harfiarka wywoła prędzej poufałe duchy, niż ucząca się dopiero i — nie śmiem rzec — fałszująca akordy dostojna pani — ale cóż począć z poetami, który są dumni, że im wolno prawić grzeczności — królowym?

Widzicie, jak surowość przekonań nawet wielkich ludzi ściera się i przygładza na pałacowej posadzce; szczęściem prawdziwa i szczytna poezya ratuje dalej tę dworność nazbyt skwapliwą; wraca Carducciemu natchnienie, gdy wspomni większe zadania i świętszego dotknie przedmiotu.

Wielu z czytelników zna Bolonię i jej dwie dziwaczne wieże jak kominy, jeden prosty i smukły, drugi mocno nachylony; poeta podsłuchuje ich dyalog: Asinella prosta i dumna ogląda chwałę Włoch, ucieczkę barbarzyńców, imperatora chylącego się przed krzyżem.

Danta widziałam, jak wznosił młodzieńczą głowę ku [naszym szczytom,
A jak się po nas przesuwają chmury,
Tak przesuwały się po nim widziała i wokół
Cisnęły wszystkie stulecia Italii.

Pochyłona Garisenda zato pamięta krwawe walki bratnie, nędzę ludu i zabory najeźdźców, kończy zaś:

Widziałam: u mych stóp papież z cesarzem
Szli, splótłszy dłonie, a mnie, mnie nieszczęsnej
Nie sądził wówczas Bóg, abym runęła
Na Karola V i siódmego Klemensa!

Podobnie wzrusza go Werona w odzie *Przed Starym Zamkiem*, ale najbardziej już stawiany na niebotycznych piedestałach Garibaldi. W tradycyjnym płaszczu i szablą w ręku wygląda on na jakiś posąg mityczny; wkoło niego spiskowcy, wówczas zbrodniarze, dziś bohaterowie, zgromadzają się milczkiem i kryjomo w małych grupach:

Jako piraci, co na zdobycz ruszyli,
Nieznani jeszcze tobie, młoda Italio,
A dla życia twego żebrzący śmierci
U nieba, u morza, u braci...

Ta ostatnia strofa, istotnie wzruszająca, wprawia dziś całe Włochy w taki entuzyazm, że zaledwie jeszcze Dantemu miejsce przed Carduccim dają.

Egrot.

LUDWIK ANZENGRUBER.

Sympatyczny, pełen żywiołowego talentu poeta, który zmarł w sile wieku, jest

najoryginalniejszą może postacią w nowszej literaturze niemieckiej. Był on poetą ludowym w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu: wyrósł z ludu, a rozszerzywszy swój widnokrąg umysłowy i wykształciwszy zdolności na wzorach pierwszorzędnych, wprowadził do swych utworów lud i jego zagadnienia. Stał w rzędzie najcelniejszych, tworząc dzieła o pierwszorzędnej niemal wartości literackiej, a przytem nie przerwał węzłów, łączących go ściśle z ludem. Życie Anzengrubera, to typowy los prawdziwego talentu. Od najwcześniejszej młodości zmuszony utrzymywać się pracą rąk własnych, nie mógł odbyć studyów prawidłowych. Z początku praktykował w księgarni, następnie przez lat siedem był aktorem prowincyonalnym, potem pracował w dziennikach zakątnych, piastował przez czas jakiś urząd kancelisty w biurze policyjnem (za wielką, wielką protekcyą!) — a dopiero w r. 1870, mając lat trzydzieści i jeden, wystąpił jako dramatopisarz z utworem "Pfarrer von Kirchfeld," w którym walczył przeciw celibatowi i w obronie haseł postępowych. Jak szybko wzrastała jego sława, o tem świadczy okoliczność, że już w r. 1878 cesarz niemiecki udzielił mu wielką nagrodę im. Schillera. Jako powieściopisarz i dramaturg zasłynął po za granicami Austryi. Powieści jego „Der Schandfleck“ i „Der Sternsteinhof“ oraz zbiory nowel wiejskich, z których wymienimy bodaj „Dorfgänge“ i „Wolken und Sunn'schein“ należą do najpopularniejszych utworów beletrystycznych. Z licznych jego dramatów zasłynęły „Der Meineidbauer,“ „Die Kreuzelschieber,“ „Heimg'funden,“ „Stahl und Stein,“ „Der Fleck auf der Ehr'“ i „Das vierte Gebot.“ We wszystkich niemal dramatach przedstawia starcie poglądów moralnych typowych u ludu ze światem rzeczywistym lub naturą jednostki; w powieściach celował subtelnem, psychologicznem przeprowadzeniem założenia.

Mimo powodzenia literackiego, Anzengruber pozostawał w tak smutnem położeniu materyalnem, że żyjąc w Wiedniu, redagować musiał nędzne pisemko humorystyczne *Figaro*. Tak smutnym był stan teatrów wiedeńskich w ostatniem dziesięcioleciu, że dramaty Anzengrubera wcale przedstawiane nie były w rodzinnem jego mieście. Dopiero z założeniem „Niemieckiego teatru ludowego“ zaświtał dla Anzengrubera okres uznania i chwały, w którym pięćdziesięcioletni dopiero poeta wiele jeszcze cennych wykonać miał planów. Na powale teatru tego umieszczono postać Anzengrubera obok Nestroya i Raimunda — nie przeczuwano wówczas, jak rychło zaszczyt ten, zazwyczaj zmarłym tylko wyświadczany, zgodny będzie z tradycyą. Co tylko w Wiedniu ma znaczenie, zebrało się na pogrzebie uznanego dziś poety; wspaniałe wieńcy posypały się na mogiłę jego a dostojnicy Towarzystwa wiedeńskiego uświetnili pamięć jego w przemowach nad grobem wypowiedzianych. Atoli takiego zaszczytu nie doznał żaden może z posłów nowoczesnych, by gromady robotników, przechodząc obok domu nieboszczyka, zatrzymały się i oddały mu hołd jako poecie ludowemu.

Lud kochał Anzengrubera i dramaty jego; inteligencya zajmować się musi poważnie utworami tymi, gdyż są to nietylko dzieła o porywającej potędze dramatycznej i głębokiej, prawdziwej poezyi, ale zarazem pierwszemi, świetnemi ogniwami w łańcuchu realistycznego dramato-pisarstwa niemieckiego.

N.

WYSTAWA STAROŻYTNOŚCI.

IV.

Gdyby o stanie rzemiosł naszych, reprezentowanych w dziale nowożytnym wystawy, należało sądzić z tego, co na górnych piętrach Muzeum się znajduje, to zaiste bardzo smutny musielibyśmy wyprowadzić stąd wniosek. Wolimy też działu tego nie traktować seryo, bo czyż podobna zajmować się i czy można dać jakiekolwiek wyobrażenie po imponującej wystawie starożytnej o „sztuce nowoczesnej, zastosowanej do przemysłu“ z kilku pieców majolikowych, malowania na różnych tkaninach, prób terrakoty, broni myśliwskiej i całego szeregu welocypedów! Prawda, że w fabrykacyi artystycznych mebli, bronzów, majoliki i różnych sprzętów domowych, wypowiedziano może ostatnie słowo, lecz są tak piękne usiłowania w naśladownictwie starych wzorów, że z ciekawością możnaby na okazy takie popatrzeć i porównać z dawnymi. Jest w mieście naszem kilku stolarzów, bronzowników, tapicerów, ślusarzów i innych, zajmujących się rzemiosłem artystycznem, których wyroby śmiało nawet na zagranicznych wystawach zjawićby się mogły; lecz nie widzimy ich na obecnym popisie muzealnym. Może jeden tylko p. Mieczysław Urbański, wystawiwszy na wzór paryski wykończone, skrawkami różnych materyj i koronek naklejane ramy do obrazów, sztychów lub fotografij dał próbkę sztuki nowoczesnej, zastosowanej do przemysłu. W braku innych okazów zaliczyć tu wypada i album z zasuszonych kwiatów nadniemeńskich, ułożony w prześliczne bukiety i arabeski ręką znakomitej powieściopisarki Elizy Orzeszkowej. Szkoda wielka, że nic więcej wymienić nie możemy.

Może zarząd wystawy nie postarał się o szerszy współudział, a może starań takich żaden nie uwieńczył skutek? Kto tu dojdzie prawdy, skoro o Muzeum przemysłu i rolnictwa tyle obiega bajek. Jedną np. opowiedział wam już *Paseł Prawdy**) o tem, jak ofiarowany tej instytucyi przez wychowańców szkoły rolniczej w Pruszkowie, bogaty zbiór wszelkich gatunków pszenicy i jej pasorzytów, dla braku miejsca umieszczono na strychu a potem złożono w piwnicy na pokarm... dla myszy. Dwie inne bajki ja wam powtórzę... Jeden ze zdolniejszych w Warszawie ślusarzów zgłaszał się kilkakrotnie, lecz napróżno do Muzeum o model stylowego szyldzika do zamku; tymczasem ktoś dbały o rozwój naszych rzemiosł sprowadził przed laty z zagranicy i ofiarował Muzeum kilka skrzyń najrozmaitszych a cennych modeli. Szkoda, że zarząd nie otworzył nam piwnic swego gmachu, gdyż owe modele łącznie z pszenicą również tam spoczywają!

Inny znów fabrykant wyrobów ceramicznych, dla wytworzenia nowej gałęzi przemysłu jak: spinek, guzików, paciorków wypalanych z gliny, dowiadywał się w Muzeum, czy nie ma w kraju glinki dla takiej fabrykacyi, lecz zbywany niczem, porzucił myśl swoją.

Gdy więc tyle różnych bajek obiega po mieście, czy dziwić się można, że najbardziej interesowani stracili zaufanie do Muzeum, że zniechęcili się do wystaw i nie biorą w nich udziału? Dlatego też, o ile wystawa starożytności przewyższyła wszystkie swe poprzedniczki, korzystną jest bardzo i pouczającą, o ile każdy niemal na niej przedmiot jest jakby kartką wyciętą z dziejów naszego cywilizacyjnego rozwoju, o tyle dział sztuki nowożytnej najzupełniej chybił celu i żadnego nikomu nie przysporzy pożytku. Powodzenie wszakże wystawy starożytnej nie stanowi bynajmniej zasługi Muzeum, które jest tu tylko gospodarzem gmachu, gdyż i poprzednie wystawy udawały się najzupełniej. Wpływ zaś okazów starożytnych na rozwój artystycznego u nas rzemiosła będzie żaden lub małoznaczny. Temu celowi i najwspanialsza wystawa zadość nie uczyni, do tego bowiem potrzeba przedewszystkiem szkół fachowych, umiejętnego a ciągłego popierania rzemiosł — a wreszcie stałych wystaw muzealnych, na jakie zdobyły się już Kraków i Lwów. Zanim to jednak nastąpi, nasze Muzeum przemysłu i rolnictwa czyni to, do czego je powołała szlachetna inicyatywa założycieli i czego domagać się słusznie mamy prawo.

*) Nr. 48 z r. b.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Przed laty dziesięciu. — Publiczne konkury p. L. Dąbrowskiego z Temnikowa i zgroza pism na „bezczeszczenie małżeństwa.“ — Po latach dziesięciu. — Miłosny świergot i tokowiska romansowe. — Czy potrzebujemy zaślubiać się przez ogłoszenia. — Położenie kobiet.—Doświadczenia hypnotyczne p. Czyńskiego i potępiający je dowód. — Szczególne upodobania. — Odezwa p. Saładyckiego i prosta rada. — Przegląd pracowni malarskich. — Jeszcze prośba o zwłokę.

Mniej więcej przed 10 laty niejaki Ludwik Dąbrowski, mieszkający w Temnikowie, w gubernii tambowskiej, zwrócił się do ówczesnej redakcyi *Nowin* z następującą prośbą:

W miejscu mojego stałego pobytu — pisał on — niema ani jednej kobiety, którą bym mógł z najskromniejszem wymaganiem poślubić. Na przypadkowe gdzieś spotkanie i na doraźne powodzenie nie liczę, gdyż naprzód obowiązki pracy nie pozwalają mi opuszczać Temnikowa, a powtóre jestem już niemłody i brzydki. Otóż proszę panów, zechciejcie pomieścić w ogłoszeniach gazety moją odezwę do kobiet, w której z nazwiskiem i dokładnym adresem a poręczeniem zupełnej tajemnicy dla drugiej strony proszę je o nadsyłanie mi swoich fotografii i bliższych objaśnień, o ile która żoną moją zostać zechce.

Propozycya wyglądała rzetelnie i poważnie, warunki życia konkurenta usprawiedliwiały jego wystąpienie publiczne, nie krył on się pod żadną maską, więc odezwę jego wydrukowaliśmy. Nie pamiętamy lub nie wiemy, jaki ona odniosła skutek; natomiast pamiętamy dobrze, jak ona odbiła się w warszawskiej prasie i opinii. W pismach peryodycznych i listach bezimiennych oskarżono nas o szerzenie zepsucia, o wynajmowanie gazety na miejsce dla gorszących schadzek, o bezczeszczenie idei małżeństwa itd. itd. Naturalnie wszystkie te grzechy zostały zapisane na rachunek „pozytywizmu“ i „postępu.“

Działo się to zaledwie lat temu dziesięć.

No i cóż dzieje się teraz? Nie pozytywne i postępowe, ale idealne i zachowawcze pisma drukują w rozmaitych językach całe szpalty — nie imiennych, ale bezimiennych „korespondencyj prywatnych,“ nie zawsze splatających związki małżeńskie, ale częściej — stosunki krótkotrwałych miłostek i bardzo poślednich romansów. Tu jakiś samczyk prosi publicznie samiczkę o powtórzenie tajemnych pieszczot, tam samiczka omdlewa w rozkoszy miłych wspomnień; tu on wabi, a ona ucieka, tam znowu ona żali się, że on odfrunął i wrócić nie chce; tu młoda wdowa gotowa objąć zarząd domu u samotnego mężczyzny, tam młody wdowiec poszukuje przystojnej towarzyszki dla swych dzieci. Propozycye

najdrażliwszej natury, układy nieznoszące świadków, kuszenia do związków luźnych— wszystko to odbywa się jawnie, wobec setek tysięcy czytelników, z zachowaniem jedynie bardzo przejrzystych pozorów. O, p. Ludwiku Dąbrowski, zwany kiedyś „gorszycielem,“ znieważającym „świętą instytucyę małżeństwa“ — jakże niewinną masz minę przy tegoczesnych Romeach i Don Żuanach z „korespondencyj prywatnych!“ O, postępowe *Nowiny*, jakże dziś parafiańsko wyglądacie wobec zachowawczych *Kuryerów*, których ogłoszenia stały się gajem, służącym za miejsce wiosennego zlotu ptaków i brzmiącym ich miłosnymi świergotami! Gazeto „zmateryalizowanych pozytywistów,“ straciłaś prawo nazywania się postępową, bo za konserwatystami pozostałaś daleko w tyle. Tobie nawet nie śnili się wdowcy, wdowy, bruneci, blondynki, grający publicznie w ślepą babkę i po złapaniu się niknący na czas pewien z widowni.

Niemcy w swojej prasie rubrykę zalotów nazwali „oślą łąką;“ u nas nosi ona tytuły rozmaite: „doniesienia osobiste,“ „korespondencya prywatna,“ a czasem „kupno i sprzedaż,“ „nauka i wychowanie“ lub „lokale.“ Ale jakiekolwiek jest jej miano, niewątpliwie służy ona bardzo rzadko za miejsce wymiany zamiarów poważnych i uczuć trwałych, a zwykle bywa tokowiskiem głuszców i cietrzewi, rynkiem popytu i podaży dla zadowoleń bardzo „pozytywnych.“ Wniosek ten wypływa zarówno z badania treści samych ofert, targów, pozwów i apelacyj romansowych, jako też z logiki naszych stosunków społecznych. W takiem położeniu, w jakiem znajdował się Robinson temnikowski, nie znajduje się śród nas żaden mężczyzna i żadna kobieta. Nadto w Niemczech, gdzie życie rodzinno-towarzyskie prawie nie istnieje, gdzie ono dla wielu ludzi obraca się na osi, której jednym biegunem jest praca zawodowa a drugim knajpa, sposobności, sprzyjające zawiązywaniu się stosunków sercowych, są istotnie bardzo ograniczone. Ale u nas owo życie istnieje we wszystkich warstwach i utrzymuje obie płcie w ustawicznem zetknięciu; jeżeli więc znajdzie się rzeczywiście mężczyzna, niemogący wybrać sobie żony drogą zwykłą i uciekający się do ogłoszeń, to jest on szczególnym wyjątkiem i prawdopodobnie dziwolągiem, któremu i ten środek nie pomoże. Znacznie odmienniej i gorzej przedstawia się los kobiety: naprzód stosunki jej towarzyskie są bardziej ograniczone, powtóre gra ona w nich rolę bardziej bierną, potrzecie w swych zamiarach małżeńskich zależy bardziej od wieku i przymiotów zewnętrznych, poczwarte, jako siła produkcyjnie słaba, bardziej cierpi od nacisku warunków zewnętrznych. W swojej sferze mężczyzna może dowolnie rozszerzać znajomości, kobieta — nie: on szuka żony, ona — czeka; on stary i brzydki — znajdzie, ona—nie; on da podstawę materyalną rodzinie, ona (bez posagu) — nie. To też byłoby objawem naturalnym i zupełnie usprawiedliwionym, gdyby ze szpalt ogłoszeniowych odezwał się chór żeński. Tymczasem przeważa w nich męzki, jak gdyby złożony z tych kochanków, którzy wieczorem polują na samotne kobiety a doświadczywszy niemiłych zetknięć z policyą lub sądem, wolą „zaczepiać“ w bezpieczniejszych krzakach i zaułkach *Kuryerów*. Swoboda swobodą a paskudztwo paskudztwem. Nie odbieram amatorom pierwszej, ale niech mi za to pozwolą ochrzcić swoje publiczne uwodzenia drugiem. Mężczyzna, który z ukrycia wabi kobiety w sidła i potrzaski, który zasłonięty bezimiennością zdobywa ich fotografie i listy, który odrazu chwyta je na nić posiadanej tajemnicy, który wreszcie zdradziecko wyzyskuje pozycyę, nie wart, ażeby cietrzew na jego głowie nocował, bo cietrzew w czasie tokowania postępuje szczerze i jawnie.

I *Kuryerowi warszawskiemu* i *Prawdzie* p. Czyński na drugiem swem przedstawieniu hypnotycznem dostarczył wymownego dowodu, że opór przeciwko tego rodzaju widowiskom publicznym ma zasadę słuszną. Podczas bowiem doświadczeń śród widzów jedna z kobiet uległa atakowi nerwowemu, wbiegła na estradę i wpadła w stan silnych zaburzeń, z którego hypnotyzer długo wyprowadzić jej nie umiał. A ile tam nastąpiło rozstrojów mniej gwałtownych i niedostrzeżonych? Ile kobiet wróciło do domu chorych? I po co te szkody zdrowia? Już jeżeli koniecznie mają się odbywać takie igrzyska, czy nie lepiej byłoby, ażeby sztukmistrze ograniczyli się do kur, psów i kotów, do zwierząt, które p. Czyński zawzięcie swoim wzrokiem mordował, a one w żaden sposób usnąć nie chciały? Dla *mediów* byłaby ta zabawka nieuciążliwą a dla widzów bardzo wesołą. Ostatecznie możnaby dodać paru silnych mężczyzn, z gatunku tych, których p. Czyński również bezskutecznie hypnotyzował. Obrońcy zaś zwolenników tego sportu niech mi odpowiedzą, jakie on im daje zadowolenie i jaką korzyść umysłową? Że można kogoś uśpić i przebić mu szpilką ciało bez bólu; że można znieczulić jakiś organ i zawładnąć cudzą wolą — o tem dawno wiemy. A co jest przyjemnego w widoku bladych, zdenerwowanych, często zidyociałych istot, które służą do widowisk? Zaiste, dziwnym jest człowiek, oglądający chciwie morderców, tracenia ich, muzea z woskowemi odtworzeniami wstrętnych chorób i doświadczenia hypnotyczne! Dziwnym dla tego, że niby kocha piękno, zdrowie, ideały, a gdy mu jednocześnie otworzyć galeryę obrazów i trupiarnię, rzuci się do trupiarni. Kto o tym guście pamięta, nie zdziwi się, gdy mężczyzna zamiast pokochać jakąś kobietę całem swojem sercem, woli czepiać się ladacznic lub za pomocą konkurów ulicznych i ogłoszeń w *Kuryerach* uwodzić jedną po drugiej, z ich łez i swojego brudu robić moralne błoto, w tem błocie siebie i swoje ofiary nurzać. A przecież ten człowiek już kilka tysięcy lat kształci się i uszlachetnia, umie być wielkim, wspaniałym, idealnym.

Z wielu odmian bajki o „czapli na wysokich nogach“ jedną z najsympatyczniejszych jest kilkakrotnie już opowiedziana przez p. Saladyckiego, zarządcę drukarni *Gazety polskiej*, skarga na nieczytelne rękopisy autorskie i wynikające stąd szkody dla zecerów. Już raz tę skargę powtórzyłem; ponawiam ją jeszcze, bo żąda ona usunięcia wielkiej krzywdy ludzi ciężko pracujących. Czytelnik łatwo zrozumie, o co chodzi, jeśli go objaśnię, że ten sam rękopis może być złożony w ciągu godziny, dwu lub trzech, zależnie od jego czytelności, że przeto niewyraźny zmniejsza zecerowi zarobek i zmusza potem do trudnej korekty— bezpłatnej. Rabusiami zaś czasu i chleba drukarskiego bywają często ludzie, którym tej wady niepodobna przebaczyć dla ich innej wartości. Obok J. Bartoszewicza, którego artykuły składają się z kropek, bazgrze również niejeden reporter, którego kilkowierszowa wiadomostka wymaga często zdolności Champoliona. Zecer, dostawszy taki rękopis — powiada p. Saladycki — „morduje się godzinami nad odcyfrowaniem tych hieroglifów, lecz nietylko sam się męczy, ale i swoich kolegów, bo chodzi od jednego do drugiego dla odczytania bazgraniny, robiąc tem mimowoli im krzywdę, bo zabiera im drogi czas. Nieraz udaje się o pomoc i do redakcyi, dla odczytania jakiegoś zdania lub wyrazu, ale po większej części nic nie wskórawszy, wraca z niczem, bo i tam na razie nie są w stanie odgadnąć jakichś dziwolągów, kończąc zwykle tem: „złóż pan, jak się panu podoba, niech go tam... w korekcie się to znajdzie.“

Czyż na to niema jakiej rady?— pyta autor skargi. Owszem jest — i to bardzo prosta. Niech redaktorzy oświadczą swym współpracownikom, że nieczytelnych rękopisów przyjmować nie będą, a jeśli im tego powiedzieć niechcą lub nie mogą — niech przepisują lub poprawiają bazgraniny. Powinni zaś to zrobić, bo uszczuplanie ludziom zarobku przez kaprys, fantazyę, przez proste lekceważenie ciężkiej ich pracy jest postępowaniem wysoce niemoralnem.

Ci, którzy przez całe życie szukają nowych widoków i tworzą je, nie mogą naturalnie pozostawać długo w jednym pomyśle i muszą zdobywać się na świeże. Wystawy obrazów i szkiców spowszedniały, więc malarze urządzili „Przegląd pracowni,“ tj. każdy z nich przedstawił w odpowiedniem ugrupowaniu miniaturę swojej świątyńki, w której go odwiedza muza. Na dziś pomijam artystyczną stronę tego popisu i zatrzymuję się tylko przy społecznej. Jest to faktem, że my oddawna malarzom wydaliśmy paszporty emigracyjne a ich płody zaliczyliśmy do towarów wywozowych. Arystokracya nabywa je rzadko, żydzi, którzy stanowią znaczną część zamożnego mieszczaństwa, nie zdradzali nigdy wielkiego upodobania do sztuk plastycznych; dom szlachecki średniej skali, posiadający bodaj kilka obrazów oryginalnych, należy do rzadkich wyjątków; jedynie więc zapaleni miłośnicy, jak nieboszczyk Gebethner, lub bogaci finansiści i przemysłowcy, jak Bloch, Ludwik Temler, kupują obrazy i zbierają galerye, nieraz bardzo doborowe. Ale kupuje garstka a sprzedaje legion. Nadto malarze nasi po części z musu, a po części dla szyku poprostu przerazili publiczność cenami swych utworów. Tysiące rubli przesuwają się w ich cenniku jak kopiejki. Człowiek średniej zamożności, który zwiedził wystawę i odczytał kartki przy ramach z owymi tysiącami, wyrzekł się na zawsze myśli posiadania malowanych płócien. A przecież nieraz mógłby je dostać kosztem dla niego możliwym. Wszelkie tedy bliższe stosunki między malarzami a publicznością, ułatwiające im zbyt utworów, budzące w niej zmysł artystyczny i pokonywające obawę pieniężną — są bardzo pożądane. Nowem ogniwem takiego stosunku jest właśnie „Przegląd pracowni.“

Na dziś zapowiedziałem wspólny nasz z czytelnikami hołd, należny p. Czesławowi Jankowskiemu za przekład „Nowej wiosny“ Heinego, który ma stanowić wzór, postawiony do naśladowania pigmejom potężną ręką olbrzyma poezyi naszej (tj. p. Jankowskiego). Ale jeszcze prosić muszę o zwłokę tygodniową, gdyż małego człowieka można zrobić wielkim, ale przestrzeni ani o włos rozszerzyć nie można. Wyznaczoną zaś dla mojej kroniki już wypełniłem.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Dla młodzieży. P. Erazm Majewski, badacz przyrodniczy, wplótł w wątek fantastycznych przygód *Doktora Muchołapskiego* świat owadów, ich naturę, właściwości i obyczaje. Jest to więc entomologia, wyłożona pod postacią opowieści fantastycznej, osnutej na szkielecie bajki, której za tło służą Tatry. Książka przedsięwzięta pomysłowo i wykonana umiejętnie zarówno przez autora, jak i przez rysownika. Wyszła w Warszawie nakładem Gebethnera i Wolffa, zawiera stronic 372.

Szkoły. Według *Ruskiego Wiestnika*, do Rady państwa wniesiono projekt, wmyśl którego w uniwersytecie dorpackim nietylko rektor. ale dziekan i profesorowie tegoż uniwersytetu nie będą wybierani, lecz przez rząd mianowani.

— Główny naczelnik zakładów naukowych wojskowych wydał rozkaz, aby dla uczniów takich zakładów nie używano korepetytorów wybranych i płatnych przez rodziców, lecz aby pomoc naukowa

była im udzielaną z funduszów samych zakładów naukowych.

— Ze względu na użyteczność gimnastyki, p. minister spraw wewnętrznych wydał rozporządzenie, aby o ile można władze starały się wprowadzać gimnastykę przez zwoływanie zebrań gminnych, któreby wyznaczyły odpowiedni fundusz na prowadzenie gimnastyki w wiejskich i miejskich szkołach początkowych. Władze policyjne otrzymały rozkaz zarządzenia odpowiednich środków dla wykonania powyższego polecenia. O potrzebne wskazówki, instrukcye, tudzież w sprawie oznaczenia na ten cel składek dla każdej szkoły, władze policyjne obowiązane są zwrócić się do naczelnika dyrekcyi naukowej.

— W Jekaterynosławiu powstał projekt przeniesienia instytutu górniczego do tego miasta, jako centrum przemysłu górniczego w Rosyi południowej.

— Mieszkańcy Lublina, zgromadzeni na naradę, wystąpili przeciw szkole miejskiej, a natomiast głosowali za gimnazyum realnem.

— Wydział rolniczy przy akademii Jagiellońskiej otwarty będzie z początkiem r. p.

— Pracownia chemiczna otwartą będzie w Krakowie z d. 1 stycznia.

— Katedra kolejnictwa przy politechnice lwowskiej otwartą będzie w r. p.

— Ministeryum oświaty zatwierdziło zapis, złożony bezimiennie w sumie 2,000 rs. na ręce dyrektora gimnazyum męzkiego w Chełmie na wzniesienie budynku dla pensyonarzy, uczniów tegoż zakładu.

— Rada państwa postanowiła przedłużyć wakacye letnie w zakładach naukowych wszystkich miast południowych o dwa tygodnie.

— Ministeryum oświaty rozesłało kuratorom okręgów naukowych okólniki, polecające ściąganie opłaty w wysokości rs. 9 za świadectwo na nauczycieli gimnazyów i progimnazyów. Za świadectwa nauczycieli języków niemieckiego i francuskiego opłata będzie wynosić 6 rs.; na nauczyciela szkoły powiatowej — 4 rs. 50 k.; nauczycieli i nauczycielek szkół miejskich parafialnych i początkowych, tudzież nauczycieli i nauczycielek prywatnych — 3 rs.

Handel. Dzienniki petersburskie donoszą, iż amerykanie zwracający pilną uwagę na rozwój produkcyi mięsa solonego w Rosyi, zamierzają ofiarować wytwórcom pośrednictwo swoje.

— Zakaz przywozu zabitych wieprzów z Królestwa do Niemiec obostrzono znacznie. Skutkiem tego ceny wieprzowiny znacznie się podniosły za granicą.

— Ministeryum dóbr państwa zawarło kontrakty z firmami: w Barcelonie, Marsylii, Hawrze, Londynie, Antwerpii, Amsterdamie, Bremie, Hamburgu, Sztokholmie i Chrystyanii, które mają pośredniczyć na rynkach zagranicznych w zbycie mięsa, przywożonego z Rosyi.

— Ministeryum skarbu opracowywa ważny projekt obłożenia podwójnym podatkiem wszystkich okrętów tych narodowości, które nie zawarły traktatów handlowych z Rosyą.

Przemysł. W Dobrach Domaszowice, w Łukowskiem, powstał zakład sztucznego wylęgania kurcząt, o czterech aparatach zagranicznych, które co trzy tygodnie mogą dostarczać 1,000 kurcząt.

— W Klimkiewiczowie otwarto nową fabrykę obręczy stalowych do taborów kolejowych.

— W pow. olkuskim na przestrzeni 1,000 morgów odnaleziono nowe pokłady węgla kamiennego.

Zjazdy. Dla osób udających się w końcu przyszłego miesiąca do Petersburga na zjazd przyrodników i lekarzy, zarządy tutejszych kolei zniżyły o 50% ceny biletów.

— Zjazd przemysłowców górniczych otwarto w Petersburgu.

Na kolonie letnie. Tak zwany „bazar ruchomy,“ polegający na sprzedaży w sklepach z ustępstwem rabatu odbył się w Warszawie na rzecz kolonii letnich.

Bazar pod nazwą „Gwiazdka“ otwarto w Warszawie 14 b. m.

Dom zarobkowy im. Staszyca otwarty będzie dopiero 1 kwietnia r. p.

Szpital pod nazwą „Św. Trójcy“ otwarto w Kaliszu.

Artele. Rada państwa zatwierdziła projekt przepisów o znacznie ułatwionem tworzeniu „arteli.“

Ustawa emerytalna dla urzędników cywilnych obowiązywać zacznie w ciągu r. p. Zastosowaną ona będzie do wszystkich urzędników, których zastanie na służbie. Oprócz kasy emerytalnej w wypłacie emerytalnej przyjmie udział skarb państwa, jeżeli fundusze pierwszej nie wystarczą na wypłacanie za 25 lat służby 30% średniej z pięciu ostatnich lat pensyi.

Rolnictwo. Pod firmą Banku ziemskiego w Rosyi południowej powstała w Charkowie nowa instytucya kredytu rolnego o kapitale 10 mil. rs.

Sprawy kolejowe. Na zjeździe inżenierów kolei żelaznych postanowiono odbywać doroczne rewizye kolejowe. W roku przyszłym na drogach: Baranowicko-Białostockiej, Wileńsko - Rowieńskiej, Nadwiślańskiej, Terespolskiej i Wiedeńskiej. Początek rewizyi naznaczono na 10 sierpnia (st. st.), a na punkt zborny obrano Warszawę.

— Z inicyatywy p. ministra komunikacyi powstał projekt utworzenia przy poselstwach ruskich za granicą specyalnych posad t. zw. agentów technicznych (na wzór ag. wojskowych), którzy mają donosić ministeryum o wszelkich postępach w rozwoju spraw kolejowych za granicą.

— *Nowosti* donoszą, iż pozwolono przyjmować kobiety na urzędy w departamencie kolejowym kontroli państwa.

— W ministeryum komunikacyi istnieje projekt dopuszczenia przedstawicieli prasy na wszelkie zjazdy kolejowe, które dotychczas odbywały się w zamkniętem kole uczestników.

Wystawy. Tow. zachęty przemysłu i handlu utworzy stałą wystawę prób i biuro informacyjne w Warszawie.

— Przyszłoroczna wystawa ogrodnicza w Warszawie odbędzie się na placu Ujazdowskim.

Zmarli. Władysław Laski, dyrektor Banku międzynarodowego w Petersburgu.

— Champfleury, w Sèvres pod Paryżem, pisarz francuski, znany pod pseudonimem powyższym (prawdziwe nazwisko: Juliusz Huson Fleury).

— Aleksander Królikowski, w Opolu, zasłużony pedagog.

— Władysław Hirszel, architekt. Przyozdobił Warszawę wielu pięknemi budowlami. Pisywał do *Przeglądu technicznego.*

— Władysław Wiślicki, w Warszawie, pianista, kompozytor, inicyator i sekretarz Tow. muzycznego, kierownik chórów.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani W. Kras. Autor ogłoszenia „dla matek“ w imieniu księgarni Gebethnera i Wolffa albo rzeczy nie zna, albo... barnumuje. B. Perez bowiem nie napisał żadnego „dzieła,“ któreby miało tytuł „Psychologia dziecka“ i któreby „liczyło w każdej prawie literaturze po kilka, a nawet po kilkanaście (!!) wydań.“ Napisał jedynie parę książek, zawierających obserwacye nad dziećmi — często surowy i nudny materyał, który dopiero obrobić należy. Nasza książka oprze się nietylko na badaniach Pereza, ale też Preyera i innych.

Panu K. Niw. w Radziwiłłowie. Odpowiedź w sprawie zjazdu aptekarskiego możemy zamieścić, ale skróconą, gdyż na tak obszerną nie mamy miejsca, a wywody Pańskie na większej treściwości nie ucierpią. Prosimy o zawiadomienie.

Panu J. B. Przekład w kilku miejscach ułomny (np. „i parskiem mu w twarz“); nie posiadając zaś oryginału, nie możemy osądzić wierności tłomaczenia.

Suwalczykowi. Wiersz Pański zrymowany zgrabnie, ale właściwem jego miejscem byłoby biurko samobójcy, jeżeli życie jest piekłem, to grób bynajmniej nie jest rajem, gdyż nawet nie pozwala odczuwać jedynej swej przyjemności — spokoju.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

OFIARY.

Dla biednych. S. Altdorfer z Odesy rs. 40.

Sprostowanie. W nr. 50, w art. „Ostatnia próba oświetlenia naszej przyszłości,“ na str. 595, szp. 3, w. 5 od dołu, zamiast „wyprawiał,“ czytaj „wprawił.“



Wydawnictwo Gier i Zabaw
PEDAGOGICZNYCH
Juliana Müllera
Senatorska 26, wprost kościoła d. Reformatów.

NOWOŚCI NA GWIAZDKĘ!

Z KĄTA W KĄT, zabawa pedagogiczna, obznajmiająca z najpierwszemi figurami geometrycznemi — rs. **1.20**

WIEŻA EIFFEL, wesoła gra towarzyska, wejście i zejście z wieży, połączone z różnemi przeszkodami — rs. **1.**

LOTERYJA KLASYCZNA, pięcioklasowa, złożona z biletów, krążków do ciągnienia oraz 50 losów z humorystycznemi wierszami Paula de Coś—rs. **1.40.**

Szczegółowe katalogi gier i zabaw na żądanie gratis—franco.

Wielki Wybór Zabawek

z fabryk ruskich i zagranicznych; książki dla dzieci, wzory do kolorowania, farby, materyały piśmienne, szkatułki z kajetami od rs. 1.50, papiery listowe, teczki z przyborami do pisania, notesy, piórniki, kałamarze, albumy i t. p.

Nowe nadzwyczaj tanie wydanie
POEZYJ
ADAMA MICKIEWICZA
W 4-ch TOMACH,
poprzedzone życiorysem skreślonym przez d-ra Piotra Chmielowskiego i ozdobione portretem autora rysunku Horowitza.

Sprzedaje się we wszystkich księgarniach miejscowych i na prowincyi.

Cena 4-ch tomów **kop. 80,**
w oprawie ozdobnej w płótno angielskie **rs. 1 kop. 50.**

Za przesyłkę w obrębie Królestwa po kop. 20, w guberniach bliższych Cesarstwa po kop. 40, a w dalszych po kop. 60 od egzemplarza dołączać należy.

Skład główny w księgarniach Gebethnera i Wolffa w Warszawie i Br. Rymowicza w Petersburgu.

Na Gwiazdkę! BIELIZNA Na Gwiazdkę!

Nie mając sklepu od ulicy, lecz mieszcząc takowy razem z pracownią, jestem w możności robienia możliwych ustępstw w sprzedaży moich wyrobów. — Koszule mezkie odznaczają się najlepszym krojem, jak również wszelka inna bielizna, wychodząca z mojej fabryki odpowiada najwybredniejszym wymaganiom, gdyż fabryka prowadzona pod zarządem właścicielki specyalistki, której zależy na stałej Klienteli i Jej rekomendacyi. *Panom Handlującym odstępuję rabat.*

Specyalna Fabryka Bielizny
TEOFILI FUKS
Senatorska Nr. 26, wprost Kościoła.



wszelkiego rodzaju i gatunku
POLECAJĄ
KRYSZTOF BRUN I SYN
plac Teatralny, Nr. 466.
w Warszawie.

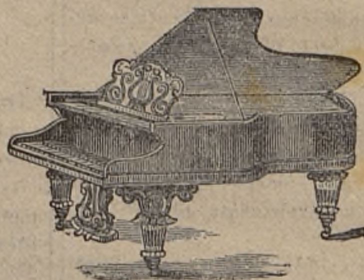


Cenniki ilustrowane na żądanie franco i gratis.

Handlującym ustępujemy **znaczny rabat.**

GEBETHNER I WOLFF
40, Krakowskie-Przedmieście, 40.
Największy w Kraju
SKŁAD FORTEPIANÓW I PIANIN

Wynajem instrumentów.



Wynajem instrumentów.

☞ SPRZEDAŻ NA RATY. ☜

ΟΙΝΟΣ ΕΛΛΗΝΙΚΟΣ

Wina Greckie
znakomitej dobroci w 6-ciu gatunkach.
Skrzynki
po 12 Butelek
w cenie
Rs. 10 kop. 80
wysyłają do wszystkich stacyj w Królestwie franco.

Bracia Kempnerowie, **Długa, 5.**

Podana przez SMOŁĘ przechwała, j[illegible] kilkakrotnie wykazałem, jest tylko BLAGĄ, opartą na własnej reklamie dla złowienia świeżego wspólnika.

!!TYSIĄCE ŚWIADECTW!!
PEWNY ŚRODEK
„EXSICCATOR"
OSUSZA WILGOĆ, ZABEZPIECZA DRZEWO OD GNICIA, GRZYBKA i t. p. — BROSZURKA ILUSTROWANA BEZPŁATNIE.
POSZUKUJĘ AGENTÓW.
Wyn. Inż. G. Ritter.
KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Preparatu tego nie należy porównywać z reklamowanemi smołami, vel gudronitami.

Czytelnia dla Kobiet
36, Nowy-Świat, 36,
Wybór Książek Naukowych
i Beletrystycznych.

!Na Gwiazdkę!
Lornetki teatralne achromatyczne, **Mikroskopy, Termomet[illegible] Binokle, Okulary, Lokomobilki, L[illegible] motywki parowe, Latarki czarnok[illegible]zkie** i t. p.
poleca o **25% taniej** [illegible]yk
JULJAN DREHER, S[illegible]na 6.
Przyjmuje wszelkie re[illegible]acye.

F. Drechsler
Warszawa,
Leszno 14.



RO[illegible]ERY od rs. 125—250.
BICYKLE od rs. 100—220.
Używane welocypedy od rs. 50.

!Na Gwiazdkę!
Tanie Lusterka poleca
MAURYCY Silberberg
8, Rymarska 8.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Декабря 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski